

Poznaj Świat

9

2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 10

JORDANIA

WITRYNA DLA BEDUINA

str. 20

FRANCJA

OGRÓD JAK MALOWANIE

str. 26

ARGENTYNA

DOLINA MATKI ZIEMI

Namibia str. 94

**AFRYKA
W PIGUŁCE**



SŁOWENIA STR. 34

WAKACJE Z ADRENALINĄ

POLSKA STR. 54

IM DALEJ W MIASTO,
TYM WIĘCEJ DRZEW

MOZAMBIK STR. 60

KRAINA DOBRYCH LUDZI

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9177003216147041 09

NA LEKKO



ACT TRAIL PRO

Doskonałe przeniesienie ciężaru
i wentylacja w systemach
nośnych firmy Deuter



deuter

www.deuter.com



JORDANIA str. 10



ARGENTYNA str. 26



TADŻYKISTAN str. 72



SŁOWENIA str. 34



POLSKA str. 54

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

JORDANIA str. 10
Kraina Indiany Jonesa
i Lawrence'a z Arabii.
Rafał Sitarz

FRANCJA str. 20
W Giverny znajdują się dom
i niezwykle ogród stworzone
przez Claude'a Moneta.
Magdalena Żelazowska

ARGENTYNA str. 26
Quebrada de Humahuaca
słynie z niezwyklej
kombinacji krajobrazów:
kolorowych wzgórz, wiosek
i miasteczek, w których
zachowały się ślady
prekolumbijskie i kolonialne.
Marzena Wystrach

SŁOWENIA str. 34
To raj dla miłośników
aktywnego spędzania czasu
i sportów ekstremalnych.
Radosław Okieńczuk

GEOSKOP str. 40

POZNAJ ZWYCZAJ str. 46
Jak się biją Kubańczycy.
Magdalena Zelewska

PODRÓŻNOŚCI str. 52
Moje życie gdzie indziej.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

POLSKA str. 54
Olsztyn łączy w sobie
zalety życia miejskiego
i na łonie natury.
Katarzyna Rojek

MOZAMBIK str. 60
Vasco da Gama nazwał
Inhambane Krainą
Dobrych Ludzi.
Jerzy Nowiński

NAVIGATOR str. 68

TADŻYKISTAN str. 72
Tadżycy mają cztery zasady:
goście muszą się czuć
jak najlepiej, zostać jak
najdłużej, jak najwięcej zjeść
i jak najszybciej wrócić.
Renata Matusiak

MIKROWYPRAWY str. 82
Ogródkowi partyzanci.
Felieton Łukasza
Długowskiego

USA str. 84
W Los Angeles spełni się nie
tylko amerykański sen, ale
podobno każde marzenie.
Marta Legieć

POLSKA NIEZNANA str. 92
Zapuć się w puszcze.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
NAMIBIA str. 94
Afryka w pigułce.
Zbigniew Kula

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 102

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 104
Malowane miasto.
Felieton Anny Szcześnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
kobieta z ludu
San, Namibia

Dominik Wolak

PERU

Co ja robię tu?

Kilka godzin jazdy od turystycznego Cusco znajduje się szlak Vinicunca. To kraina jeszcze nie do końca poznana, pełna kolorowych pagórków, które swoją barwę zawdzięczają różnym minerałom. Jest zamieszkaana jedynie przez kilkadziesiąt osób i setki alpaki i lam. Alpaki, nieoswojone jeszcze z obcymi, starają się odgadnąć, jaki jest cel wyprawy tylu nowych osób.





BRUBECK[®]
B O D Y + G U A R D

Inspired by nature.

BRUBECK jest producentem zaawansowanej technologicznie termoaktywnej odzieży do wszelkich aktywności outdoorowych. Dbałość o perfekcyjne wykonanie i szlachetne surowce, takie jak najwyższej jakości australijska wełna merino, zapewniają trwałość produktów i komfort użytkowania na długie lata. Funkcjonalne i komfortowe produkty idealnie sprawdzają się w zmiennych warunkach podczas intensywnego trekkingu, wspinaczki czy rekreacyjnej wycieczki górskiej.

SPRAWDŹ NA
www.brubeck.pl

Guillaume Bily (Francja)

SZETLANDY, WIELKA BRYTANIA
Głuptak we mgle

Choć na ziemi głuptaki są nieporadne, w powietrzu okazują się zwinnymi łowcami, którzy krążą na niebie w pogoni za pożywieniem. Składają skrzydła i spadają z nadzwyczajną precyzją, z prędkością dochodzącą do 90 km na godzinę. Z pluskiem nurkują do wody, żeby złapać płynące ławicą ryby: makrele lub śledzie.

KATEGORIA: PTAKI
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ZIEMI
FINALISTA



© GUILLAUME BILY, FRANCJA, „W niebieskość”

ZDJEŃCIE I TEKST POCZODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. OD DNIA 6 WRZEŚNIA DO 15 PAŹDZIERNIKA WYSTAWA BĘDZIE PREZENTOWANA W MUZEUM OKRĘGOWYM W SANDOMIERZU, UL. ZAMKOWA 12.



ACTIK CORE

Baterie, czy akumulator?
Ty wybierasz!

Photo © www.kalice.fr

Kompaktowa, wielowiązkowa latarka czołowa z akumulatorem.
ACTIK CORE to lekka i mocna latarka czołowa z dwoma wiązkami światła, idealna do zastosowań outdoorowych. Dostarczona z akumulatorem CORE, a jednocześnie dzięki koncepcji Hybrid CONCEPT jest kompatybilna ze zwykłymi bateriami. Elastyczne rozwiązanie umożliwiające korzystanie z obydwu źródeł zasilania bez konieczności stosowania adaptera. 350 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®

Kamil Jutkiewicz

FRANCJA

Z widokiem na wisienkę

Refuge du Couvercle to schronisko na wysokości 2687 m n.p.m. w rejonie Chamonix. Chatka oferuje jedno z najlepszych widoków w Alpach Francuskich – panoramy masywu Mont Blanc czy widoczny w tle Grand Jorasses. Ten ostatni to jedno z najpoważniejszych wyzwań wspinaczkowych tych gór. Stromy Filar Walkera wyrastający z lodowca Leschaux jest „wisienką na torcie” dla każdego wytrawnego alpinisty.



Przyślij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**
gdziekolwiek
masz ochotę

Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK

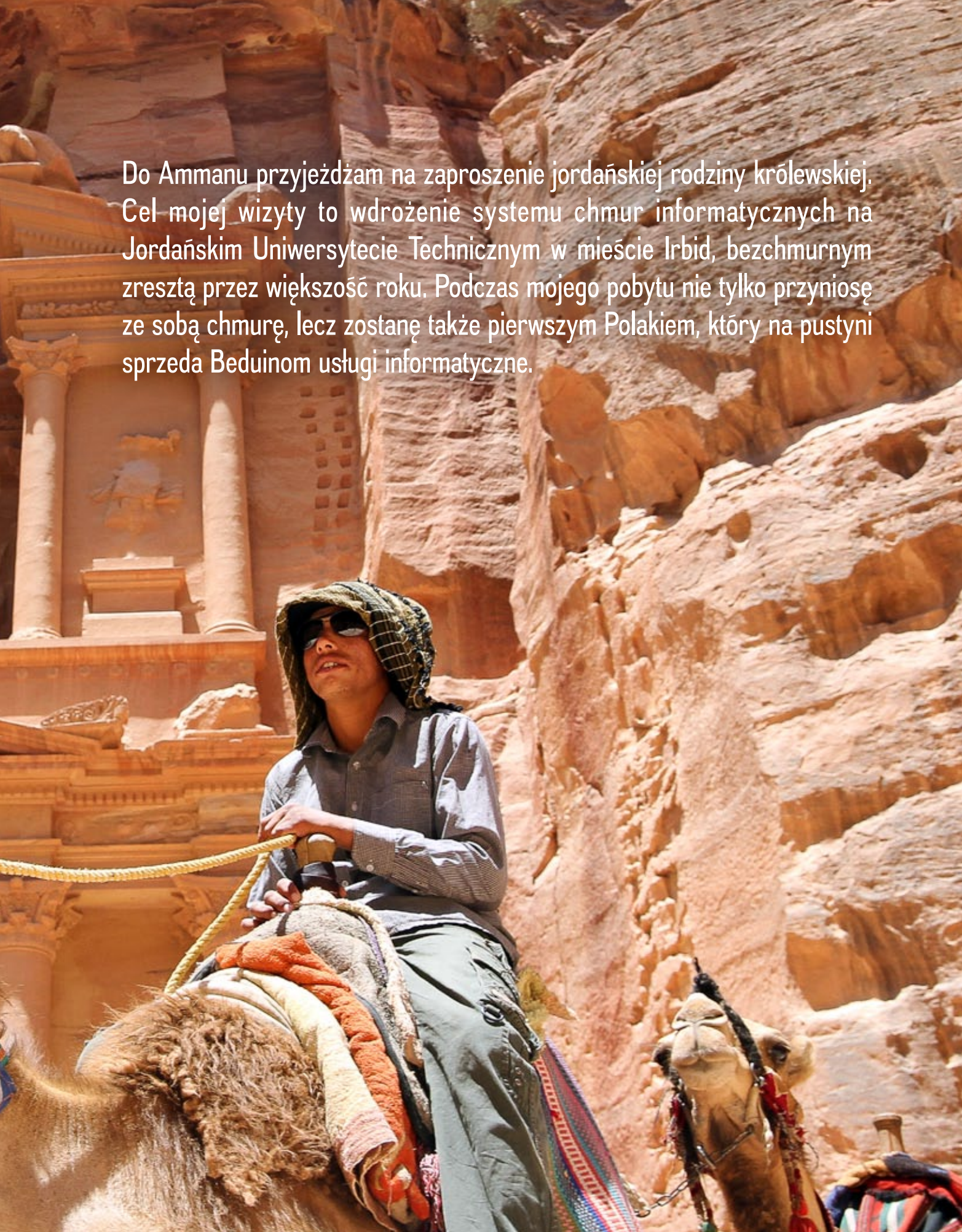
Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



WITRYNA DLA BEDUINA

Rafał Sitarz

Do Ammanu przyjeżdżam na zaproszenie jordańskiej rodziny królewskiej. Cel mojej wizyty to wdrożenie systemu chmur informatycznych na Jordańskim Uniwersytecie Technicznym w mieście Irbid, bezchmurnym zresztą przez większość roku. Podczas mojego pobytu nie tylko przyniosę ze sobą chmurę, lecz zostanę także pierwszym Polakiem, który na pustyni sprzeda Beduinom usługi informatyczne.





W Ammanie mieszka co szósty obywatel ponad sześciomilionowej populacji Jordanii. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, jest położenie miasta na wzgórzach. Nad niskimi domami z białego kamienia górują smukłe minarety. Wszechobecne na każdym skrzyżowaniu uzbrojone wojsko przypomina o napiętej sytuacji w regionie. Zanim jednak pobędziemy w stolicy, poznamy tutejszy interior. Ruszymy wypożyczonym autem na południe, skierujemy się na Morze Martwe, aby dotrzeć do doliny Wadi Rum.

Z KSIĄŻKĄ W MORZU

Nawiew naszego pojazdu włącza się samoczynnie, za to działa tylko do pierwszego wstrząsu. Po kilku godzinach jazdy bolą nas pięści od licznych „zachęt” kierowanych pod adresem klimatyzatora. Trasa to wznosi się, to opada. Drogowskazy często zanikają, przez co zaglądamy w tej podróży do takich miejsc, które nigdy nie znalazłyby się w naszych planach. Mijamy wioski oraz pola i dojeżdżamy do miasta Madaba, znanego z odkrycia w nim mozaiki z VI w., która przedstawia mapę Palestyny i Dolnego Egiptu. Na południe od Madaby nie widzimy już miast, a nawet wiosek, jedynie pojedyncze namioty.

Pierwszy dłuższy przystanek robimy nad Morzem Martwym, a właściwie to nie nad morzem, lecz najniższym jeziorem na świecie (418 m p. p. m.). Wbrew oczekiwaniom tutejsze widoki nie są urzekające.

KRAJOBRAZ PO LAWRENSIE I DAMONIE

Dolinę Wadi Rum rozświetlił na początku XX w. brytyjski oficer i kartograf Thomas Lawrence. W 2015 r. dodatkową reklamę zapewnił jej nakręcony w tej okolicy film „Marsjanin” z Mattem Damonem w roli głównej.



Pustynny krajobraz, kamieniste brzegi, a woda w ciemnostalowym kolorze. Z racji zasolenia, które sięga 36 proc., nie ma tu życia, a to, co pływa w akwie, sprawia wrażenie rozwodnionego kisielu. Na włosach zostają grudki soli, a kontakt wody z oczami jest wyjątkowo bolesny. Położenie się na brzuchu przy takim zasoleniu wymaga zwinności, bo jest się błyskawicznie wypychanym na plecy. Chętnych do krótkiej (tylko!) kąpieli jednak nie brakuje, zwłaszcza że można sobie zrobić oryginalne zdjęcie – w pozycji leżącej, na powierzchni wody, z książką w rękę.

Wracamy na trasę wąską, krętą drogą, która prowadzi na południe. Jeden z mijanych wierzchołków to Góra Nebo. To z niej Mojżesz miał zobaczyć Ziemię Obiecaną, do której jednak nie





FOT. RAFAŁ STARZ

dotarł. Obecnie na szczycie znajduje się sanktuarium oraz park. W pobliżu widać tylko kilka szarych namiotów, handel nastawiony na pielgrzymów w tym miejscu się nie rozwinął.

FASADA INDIANY

Zbliżamy się do Petry. Krajobraz urozmaicają minarety, czasami przy drodze stoi budka, w której można nabyć ciastka i wodę. Każde z tych miejsc jest punktem spotkań towarzyskich, gdzie starsi dyskutują, oparci o ścianę, a dzieci biegają roześmiane. Obcokrajowcy stają się automatycznie atrakcją. W nocy dojeżdżamy w okolice tego najbardziej turystycznego miasta Jordanii. Zatrzymujemy się przed hotelikiem, który nie wygląda na przesadnie drogi. Próbujemy szczęścia:

- *Do you have cheap rooms?*
- *Yes, sir, 200 dollars.*

Próba negocjacji okazuje się nieudana. Szybki zwrot na pięcie, ale gdy odchodzę, słyszę okrzyki protestu. Pan na recepcji wita

MIASTO Z EPOKI

Podobno w przeszłości Petra przypominała inne miasta swojej epoki, np. takie jak Efez. Zanim jednak Nabatejczycy wykuli swoje osiedle w skałach, koczowali w namiotach oraz naturalnych jaskiniach.



FOT. RAFAŁ STARZ



FOT. RAFAŁ STARZ

DZIEŁO CZASU I EROZJI
Mosty skalne stanowią
jedną z głównych
atrakcji Wadi Rum. Ten
znajduje się w pobliżu
kanionu Khazali.

się ponownie, jakbym właśnie wszedł: – *Tak, mamy tanie pokoje do wynajęcia. Nowa cena to... 5 USD.*

Petra, czyli z arabskiego „skała”, to cel niezliczonych wycieczek. Większość turystów przyjeżdża tu z Egiptu na jeden lub dwa dni i po zwiedzeniu zawraca pośpiesznie na plażę. Wielu z nich pyta: – *Petra? Hmm, to tam zdaje się był Indiana Jones?*

Historia miasta różni się od losów sąsiadów, których ziemie przechodziły pod kolejne panowania. Petra była stolicą państwa Nabatejczyków, które dzięki lokalizacji na szlakach handlowych z Arabii do Syrii oraz z Egiptu do Indii czerpało zyski z zaopatrywania karawan. Miasto nie poddało się cesarzowi Oktawianowi ani zakusom ze strony Kleopatry, co pozwala wnioskować, że jego władcy byli



Po wieczornym posiłku w knajpcie z sharmą oraz noclegu jedziemy zwiedzać. Mimo wczesnej pory temperatura przekracza już 30°C. Zostawiamy samochód na parkingu i udajemy się w kierunku kas, gdzie ku naszemu zdziwieniu jesteśmy proszeni o paszporty. Znużony i zarośnięty bileter sprawdza szczegółowo każdą stronę i pobiera po 70 USD za wejściówkę. Zdenerwowany Niemiec próbuje zrozumieć, dlaczego ma zapłacić za tą samą przyjemność dwa razy więcej niż my. Otóż dlatego (czego nie piszą w przewodnikach), że osoby, które przyjeżdżają tylko na jeden, dwa dni (a szczególnie te z Izraela), muszą zapłacić dodatkowo. Oczywiście, ponieważ nic wcześniej o tym nie wiedzieli, przeklinają, odchodzą od okienka, aby w końcu wrócić i z oznakami nienawiści do kasjera zapłacić wymaganą kwotę.



FOT. RAFAŁ STARZ

sprawnymi dyplomatami. Ostatecznie, po okresie największego rozkwitu, który trwał od X w. p.n.e. do 40 r. n.e., gdy mieszkało w niej nawet 40 tys. osób, została podporządkowana Rzymowi, a w późniejszych czasach zdobyta kolejno przez Arabów i krzyżowców. Do upadku starożytnego miasta przyczyniły się liczne trzęsienia ziemi, a to największe, z 363 r., spowodowało wyludnienie miasta.

Najbardziej znanym zabytkiem miasta jest Al-Hazna – Skarbiec Faraona, uważany mylnie za świątynię. Tak, to jest ten budynek Indiany Jonesa, w której został ukryty Graal. Aby do niej dotrzeć, idziemy długą drogą do kanyoniu, wśród pojedynczych, wyrzeźbionych w piaskowcu budowli. Promienie słońca nadają skałom całą gamę kolorów. Nie bez powodu Petra była nazywana „kolorowym miastem”.

PRZEZ ŻYCIE NA JEDNEJ STRUNIE

Ten starzec, skrywający się w cieniu skał Petry, próbuje zarobić kilka dinarów grając na swoim jednostrunowym instrumencie.



NOCĄ W AMMANIE

Najjaśniejszym punktem miasta jest o tej porze doskonale zachowany rzymski teatr z II w.

Po kilkunastu zakrętach w wąskim przesmyku pojawiają się wryte w kamieniu wielkie kolumny. Skały kanionu przypominają ramkę, w której pojawia się zabytek. Skarbiec wydaje się większy niż na fotografiach, lecz to jedynie imponująca fasada. W tym miejscu kończy się też kanion, a razem z nim cień. Temperatura dochodzi do 40°C...

LUKSUSY ZA INTERNET

Z Petry ruszamy do Wadi Rum. Droga prowadzi przez pustynne tereny, kilkakrotnie zmierza ku górze i daje możliwość zobaczenia skalistej pustyni z niewysokimi, postrzępionymi wzniesieniami. Kolory skał zmieniają się – z wypalonego żółtego i jasnobrazowego w żółtoczerwony. Odbijamy z głównej drogi i jedziemy na pustynię przez dolinę Rum. Miejscami asfalt się kończy, aby ponownie zamienić się w wąską, ale utwardzoną drogę.

Nagle sceneria niczym z westernów! Pośrodku niczego – obszerny budynek, z którego

strażnicy obsługują... szlaban. – *Zaproszenie jest?* – pyta pan w przepoconym uniformie. *Zaproszenie na pustynię?* – *No, nie ma.* – *To trzeba kupić* – odpowiada i pokazuje, że mamy zawrócić w kierunku parkingu. W okienku oferują za 30 USD jazdę samochodem terenowym na zachód słońca. Wysokość opłat jest wydrukowana na kartce i przez to teoretycznie nienegocjowalna. Bilet ma rządową pieczęć, a to już poważna sprawa. Można także nabyć pakiety wycieczkowe z wliczonym noclegiem.

Kiedy wychodzimy z „biura”, podchodzą do nas tzw. nieoficjalni przewodnicy. Są to ci sami panowie, którzy siedzieli w okienku. Mają propozycje, które jednak nadal wydają się nam niekorzystne. Decydujemy się więc odjechać do małej wioski, oddalonej stąd o kilka kilometrów, i tam coś wymyślić.

FOT. RAFAŁ STARZ



FOT. BABAL STARZ

Zapada zmrok i powinniśmy się rozejrzeć za noclegiem. Zlepek niskich, zaniedbanych budynków, pomiędzy którymi wije się wąska dróżka, tworzy wioskę. Na jej końcu wybudowano mały meczet, a zaraz obok wznosi się wieża sieci komórkowych. Przed budynkami stoją wiekowe samochody, które jeżdżą tylko dzięki pomysłowości właścicieli. Przy jednym z pierwszych budynków znajdujemy kemping z namiotami, które można wynająć niemalże za darmo. Problemem jest ich standard: dwa wbite w ziemię patyki i wiszące na nich brudne prześcieradło...

Przy zaimprovizowanym warsztacie samochodowym, w którym nastolatki naprawiają wiekowego mercedesa przy użyciu kawałków metalu i sznurka, dostajemy ofertę wycieczki i noclegu. Wchodzimy na mały dziedziniec, siadamy na schodach i rozpoczynamy negocjacje. Panowie rzucają cenę, my redukujemy ją o siedemdziesiąt procent. W pewnym momencie pada stwierdzenie, że potrzebują strony internetowej. Proponujemy, że zrobimy ją w ciągu wieczora. Nie wierzą, i trudno ich przekonać w inny sposób niż rozpoczęciem pracy.

PRZYJECHALI I POJECHALI

Takie widoki co roku przyciągają tysiące turystów, a znakiem naszych czasów są ślady samochodów terenowych, które zastąpiły tu odciski kopyt na piasku.



KONCERT ZE WSPOMAGANIEM

Spotkani Beduini nie próbowali niczego sprzedać, natomiast po wypiciu znacznej ilości bimbrow oraz wypaleniu bliżej nieokreślonych ziół rozpoczęli koncert na gitarach.



WIOSNA NA WADI RUM

O tej porze dolina nabiera kolorów, nieśmiało pojawia się pustynna roślinność oraz nieliczne kwiaty.

Łączymy się przez ich komórkę z internetem, a dzięki masztowi z nadajnikami przy meczecie zasięg jest doskonały. Błyskawicznie powstaje zarys strony, którą będą mogli rozwijać. Oczy świecą im się ze szczęścia. Wyprzedzą konkurencję! Wiadomo, reklama dźwięnią

wracamy do pracy, a gdy kończymy, chłopaki są pod takim wrażeniem, że zamieniają nam nocleg w domu na „luksusowy” w pustynnym obozie namiotowym.

Starą terenówką jedziemy pełnym gazem przez pustynię w zupełnych ciemnościach,

handlu. Potem zapraszają na wspólny obiad. Uzgadniamy ulgową cenę za kilkugodzinną wycieczkę jeepem na pustynię plus nocleg.

Gdy prosta witryna jest gotowa, rozpoczynamy szkolenie jednego z chłopaków, Ghanaema, z dodawania nowych elementów i zmieniania już istniejących. Na obiad młodziutka żona jednego z nich podaje gotowany ryż z baraniną i kawałki chleba, a wszystko na wielkim, wspólnym talerzu. Biesiadujemy. Potem szybko

przez które przebijamy się jedynym sprawnym reflektorem. Szczęśliwie zatrzymujemy się przed polem namiotowym u podnóża wielkiej skały. Na niebie widać Drogę Mleczną. A my tworzymy historię: oto staliśmy się prawdopodobnie pierwszymi turystami, którzy na pustyni sprzedali Beduinom stronę internetową. Takich referencji nie ma nikt. (Po powrocie do kraju sprawdziłem – witryna działa!).

W NAMIOCIE U LAWRENCE'A Z ARABII

Wadi Rum jest największą z dolin Jordanii, które w czasie pory deszczowej zapełniają się wodą. Są tu wysokie na dwa metry namioty z pełnowymiarowymi łózkami. Kempingi zostały przystosowane do wymagań zachodnich turystów. Przy skałach dobudowano łazienki i prysznice. Elegancko. Tylko ta cena, która przekracza 100 USD za nocleg w namiocie! Okolica stała się znana dzięki brytyjskiemu oficerowi Thomasowi Lawrence, zwanemu Lawrence'em z Arabii, który opracowywał mapy Bliskiego Wschodu w czasie I wojny światowej. Sama postać Lawrence'a może być inspiracją do nakręcenia nie tylko jednego filmu.

Po śniadaniu przyjeżdża po nas jeden z poznanych chłopaków. Pierwszy przystanek to kanion, w którym znaleziono antyczne malowidła i rysunki. Zapewne ich wartość historyczna jest niezaprzeczalna, lecz laik nie skorzysta tutaj zbyt wiele. Długość kanionu to maksymalnie kilkadziesiąt metrów, a kończy się najzwyczajniej w świecie ścianą. Przez kilka następnych godzin jeździmy pomiędzy jedną skałą a kolejną i oglądamy wymyślne formy wyrzeźbione w piaskowcach przez wiatr.

Dojeżdżamy do skalnego mostu, przy którym został rozstawiony namiot. W środku siedzi znudzony nastolatek z tutejszą odmianą gitary. Częstoje nas herbatą i ku naszemu zdziwieniu nic nie próbuje sprzedać. Nasz kierowca przywiózł swój instrument, więc rozpoczyna się muzykowanie. Gitara gospodarza ma tylko część strun, ale w niczym to nie przeszkadza. Panowie wyją i fałszują, a przy tym bawią się doskonale. Siedzimy na dywanie, po którym biegają małe koty, i patrzymy na prywatne przedstawienie. Chłopaki popijają szklankami bimbier z butelki po 7 up i kontynuują koncert,



OPAL TRAVEL
BIURO PODRÓŻY

✿ WYPRAWY W KAMERALNYCH GRUPACH ✿ WYPRAWY SZYTE NA MIARĘ
PODRÓŻE DLA KONESERÓW ✿ WYPOCZYNEK ✿ INCENTIVE

www.opaltravel.pl

OPAL TRAVEL ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa, tel. (22) 636 93 99, (22) 636 94 32, +48 662 257 618

R E K L A M A

paląc papierosy oraz zioło. Nasz przewodnik staje się wyjątkowo komunikatywny po wzmożeniu się procentami. Normalnie przy temperaturze, która przekracza 50°C, człowiek pada po wypiciu takiej ilości alkoholu, ale na Beduina działa on zaledwie pobudzająco. Napity kierowca proponuje nam wspólne interesy, w tym poszukiwanie nocami skarbów ukrytych od setek lat w górach.

Na szczęście bez incydentów wracamy do osady, w której zostawiliśmy samochód. Regulujemy uzgodnioną kwotę i szykujemy się do opuszczenia pustyni. Chłopaki od strony internetowej zadają jeszcze kilka pytań, a na koniec proponują nam pracę w roli pośredników przysyłających turystów. Jak tak dalej pójdzie, to zaczniemy im sprzedawać piasek z Wisły. ○



Rafał Sitarz

Podróżnik, fotograf, z wykształcenia informatyk i trener tenisa ziemnego. W podróżach z żoną po Azji, Afryce i Amerykach spędził łącznie kilka lat. Unika wielkich miast, podróżuje lokalnymi środkami transportu. Pracował w Arabii Saudyjskiej, Kenii, Rwandzie, Jordanii, Maroku, Emiratach Arabskich, Tunezji i Rosji. Autor blogów podróżniczych oraz pokazów zdjęć.

EUROPA | Francja

Magdalena Zelazowska

OGRÓD JAK MALOWANIE



Jak każdy, kto lubi podróże, noszę w głowie marzenia – obrazy. Moje często wiążą się z kwiatami: lawendowe pola Prowansji, nostalgiczne wrzosowiska Szkocji, usłana krokusami Dolina Chochołowska. Wśród nich jest jedno miejsce, którego nie muszę sobie wyobrażać, bo ktoś zrobił to za mnie. I namalował, przynajmniej kilkaset razy.



Zgiełk i przepych Paryża nikną z każdym z 80 km na zachód, aż do granicy z Normandią. Pociąg dojeżdża do Vernon, stamtąd jeszcze 5 km pieszo, można też próbować łapać autobus. Oplecione bluszczem i pnącymi różami kamienne domki rozpraszają się pośród łąk, na których pasą się krowy. Tylko kolejka ludzi z aparatami podpowiada, że w tej wiejskiej scenerii kryje się atrakcja na miarę światową.

Jestem w Giverny, wiejskiej posiadłości Claude'a Moneta, otoczonej przez ogród uwieczniony na setkach obrazów słynnego impresjonisty. Od kiedy w szkole pierwszy raz otworzyłam podręcznik do plastyki, widziałam je setki razy, i rozkład ogrodu powinnam znać już chyba na pamięć. Mimo to nie mogę

FOT. MICHAŁ PIETRZAK

się doczekać, kiedy zobaczą go na żywo. Stoję przed wejściem i czuję się jak przed furtką do tajemniczego ogrodu z powieści Frances Hodgson Burnett. Niecierpliwie się jak dziecko i próbuję wspinać się na palce, by dojrzeć coś przez ogrodzenie.

PERFEKCYJNY PAN DOMU

Wycieczka zaczyna się od zejścia pod ziemię. Tuż za furtką znajduje się wejście do tunelu, który kończy się po drugiej stronie drogi przecinającej ogród na dwie części. Ta, od której zaczynamy, powstała później. Monet wydzierżawił posiadłość w Giverny w 1883 r., a kiedy po niespełna 10 latach została wystawiona na sprzedaż, kupił ją. Po przeprowadzce przystąpił do moszczenia swojego wymarzonego gniazdka: przearanżował dom na potrzeby licznej rodziny, w starej stodole urządził atelier i zabrał się za projektowanie ogrodu.

Po pewnym czasie w okolicy gruchnęła wieść, że na sąsiedniej, błotnistej działce ma powstać krochmalnia. Wszyscy zadrżeli, bo wiedzieli, jakie spustoszenie mogła poczynić w przyrodzie i krajobrazie. Monet wykorzystał swoją siłę przebicia i znane już nazwisko, złożył u lokalnych władz protest i wywalczył prawo pierwokupu ziemi. Podmokły teren idealnie nadawał się na ogród japoński. Inspiracją w jego tworzeniu stała się spora kolekcja japońskiego drzeworytu, która do dziś zdobi ściany domu w Giverny. Z pewnością cieszy to azjatyckich turystów, którzy przemykają wśród zielonych alejek i próbują stworzyć kopie obrazów mistrza za pomocą filtrów w najnowocześniejszych aparatach.

Wygląd obu części ogrodu świadczy o pasji i wyobraźni plastycznej jego założyciela. Posiadłość w Giverny była spełnieniem marzeń Moneta i polem do popisu, gdzie wreszcie mógł puścić wodze fantazji. Wymarzył sobie żywy roślinny obraz, który mógłby codziennie uwieczniać. To od ogrodu codziennie zaczynał dzień. Malował rano i popołudniami, kiedy światło jest najlepsze, pozostały czas przeznaczał na prace ogrodnicze. Własnoręcznie pielął, sadił i podlewał, a do bardziej skomplikowanych zadań zatrudnił kilku ogrodników. Studiował książki botaniczne, gatunki niedostępne we Francji sprowadzał z zagranicy. Stworzenie plenerowej pracowni zajęło mu wiele lat.

KWIATOWY ZAWRÓT GŁOWY

Efekt jest zachwycający. Ogród japoński daje poczucie wyciszenia i równowagi. Wąskie ścieżki skryte w przyjemnym cieniu bambusów i kwitnących krzewów prowadzą do pokrytego nenufarami stawu z zielonym łukowatym mostkiem, uwiecznionym na ponad 250 obrazach Moneta. Malarz siadał na brzegu i godzinami wpatrywał się w ruchliwy świat podwodnych roślin, różowe i zielone refleksy na powierzchni wody, odbijające się w niej drzewa i obłoki. Zapamiętał portretował ukochane lilie wodne (fr. *nymphéas*), których dostojne kielichy ledwie widzialnie kołysały się na wietrze. W jednym z listów napisał: „Jestem pogrążony w pracy. Te pejzaże z wodą i odbiciami stały się moją obsesją”. Trudno mu się dziwić – spacer wokół stawu działa hipnotyzująco.

Wokół domu jest barwniej i weselej. To tu toczyło się codzienne życie rodziny malarza. Żwirowe alejki prowadzą w gęszcz krzewów i kwiatów. Peonie, ostróżki, tulipany, irysy, dalie, astry i pnące róże – każdy zakątek został obsadzony tak, by przez wszystkie ciepłe miesiące kwitły na inny kolor. Rabaty i klomby przypominają malarskie palety, a wymieszane na nich barwy dają fantastyczne połączenia kolorystyczne. Nie powinnam się dziwić, jestem przecież u Moneta, który potrafił zaczarować widza portretem siana. Stogi na polach wokół Giverny malarz uwieczniał przez kilka lat, o różnych porach roku, polował o światło na



**MOSTEK
MIĘDZYKONTYNTENTALNY**
Ogród japoński łączy
filozofię Wschodu
z europejską gracją.
Claude Monet zagrał
tu z konwencją
i pomalował słynny
mostek na zielono – te
w Japonii są czerwone.

właściwą barwę światła, która czasem trwała tylko kwadrans.

NIE MA RÓŻY BEZ KOLCÓW

W młodości szczytem marzeń Moneta wcale nie był dom na wsi, tylko elegancki i światowy Paryż. Nastoletni syn sklepikarza z Hawru śnił o studiach w mieście świateł i dołączeniu do tamtejszej bohemy. Lokalni notable chętnie zamawiali u zdolnego chłopca karykatury i chwalili go za talent, ale rodzice

radzili mu zdobyć bardziej praktyczny fach. Z pomocą przyszła zamożna ciotka, która zgodziła się opłacić jego naukę w Paryżu. Monet wyjechał z wielkimi nadziejami, ale jak większość młodych artystów – spotkało go wielkie rozczarowanie.

Paryscy krytycy nie doceniali jego twórczości i nowatorskich pomysłów. Razem z kolegami ze szkoły długo nie potrafił się przebić przez skostniałe struktury opiniotwórczego Salonu, co w dużej mierze decydowało o tym, że aż do czterdziestki regularnie zostawał bez



śmierci żony Camille związał się z Alice Hoschedé, małżonką zamożnego przedsiębiorcy i przyjaciela, który pomógł mu finansowo przez zamówienie u niego obrazów do swojego pałacu. Kiedy romans wyszedł na jaw, urażony mąż opuścił Alice i sześcioro ich wspólnych dzieci. Razem z dwoma synami Moneta nowa rodzina kochanków liczyła 10 osób – stanowczo za dużo, żeby pomieścić się w przeciętnym mieszkaniu w paryskiej kamienicy. Para rozpoczęła więc poszukiwania domu na wsi, który zapewniłby im dostateczną ilość miejsca. Podobno posiadłość w Giverny Monet wypatrzył z okien pociągu.

SŁONECZNA RESZTA ŻYCIA

Nad ogrodem unosi się atmosfera bezstroskich wakacji. Ma się wrażenie, że za chwilę zwirową alejką potoczy się dziecięca piłka, a na biegnącą wokół domu zieloną werandę gospodyni wyniesie tacę z podwieczorkiem. Wesołe plamy słońca wpadają przez wysokie okna salonu i przysiadają na dziełach mistrza jak drżące motyle. Sprawiają, że kopie wydają się

RESTAURACJA POD NENUFAREM

Zatopiony w zieleni taras restauracji Les Nymphéas to doskonałe miejsce, by ochłonąć po zwiedzaniu ogrodów. Nawet ażurowe stoliki i krzesła przypominają tu delikatne kwiaty.

środków do życia. Ponieważ miał na utrzymaniu żonę i dwójkę dzieci, przeżywał nawracające załamania nerwowe. Lekarze zalecali wypoczynek z daleka od miasta, co szybko przypadło mu do gustu. Koil skołatane nerwy wiejskim powietrzem, a przy wynajmowanych letnich domach zakładał ogrody. Praca fizyczna na przemian z malowaniem zapewniały artyście psychiczną równowagę. Paryż kojarzył mu się przede wszystkim z odrzuceniem, prowincja – z przyrodą i spokojem.

To właśnie tęsknota za wiejską sielanką zawiodła malarza do Giverny, gdzie spędził drugą połowę życia, choć nie bez znaczenia była jego nowa miłość. Po przedwczesnej



żywsze niż oryginały, zamknięte na cztery spusty w najważniejszych światowych muzeach.

Na piętrze znajdują się przytulne sypialnie, a w nich kominek, łóżko przykryte kwiecistą narzutą i fotel do czytania. Na dole – żółta jak kanarek jadalnia oraz niebieska kuchnia, która skrywa błyszczące miedziane rondle i skrzynki na świeże jajka (mieszczące nawet 80 sztuk, jak przystało na potrzeby dużej rodziny). Z każdego kąta emanuje ciche szczęście. Lata spędzone w Giverny były dla Moneta najlepsze. Był zakochany, miał dużą rodzinę, a jego malarska kariera nabrała tempa i zyskała międzynarodowe uznanie.

„Wszyscy chcą kupować Moneta; podobno nie nadąza malować” – skomentował nową światową modę jego kolega po pędzlu Pisarro. W tych słowach jest wiele prawdy – Monet słynął z drobiazgowości i precyzji, które sprawiały, że każdy obraz malował w nieskończoność. Uwieczniał pozornie zwyczajne sceny z najbliższego otoczenia, ale przedstawiał je w sposób wyjątkowy. W czasach czarno-białej fotografii to obrazy impresjonistów, oddające migotanie barw i refleksy światła,



DZIEŁA ŻYCIA

Do domu przylega ogród Clos Normand. Na powierzchni 1 ha Monet stworzył serię perspektyw i symetrii, bawił się przy tym paletami barw. W Giverny artysta spędził 43 lata życia i namalował setki obrazów. To jednak ogród uznaje się za jego najważniejsze dzieło.



były najbardziej realistyczne. Z cierpliwością ogrodnika Monet dopieszczał każdy odcień i najdrobniejszy detal, a gdy nie mógł uzyskać upragnionego efektu, w złości niszczył płótno. Cała jego twórczość, i malarska, i ogrodnicza, pod pozorem zwyczajności skrywa prawdziwą sztukę i ciężką pracę. Malował aż do śmierci, choć pod koniec życia stracił wzrok z powodu katarakty i musiał się poddać operacji.

W pracowni malarskiej, którą urządził sobie w stodole, dziś mieści się sklepik z pamiątkami. Kawałek ogrodu Moneta można zabrać ze sobą na okładce notesu, emalii filiżanki albo jedwabnej apaszce. Wybieram kawę na zatopionym w zieleni tarasie restauracji Les Nymphéas. Nietrwałą, ale obłudnie pachnącą. Za chwilę zniknie, ale impresja zostanie niezapomniana. ○



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.

DOLINA MATKI ZIEMI

Marzena Wystrach





Quebrada de Humahuaca to długi na 155 km wąwóz, drążony przez rzekę Río Grande. Znajduje się w prowincji Jujuy i łączy tereny płaskowyżu z nizinami. Słynie z niezwyklej kombinacji krajobrazów: kolorowych wzgórz, wiosek i miasteczek, w których zachowały się ślady prekolumbijskie i kolonialne.

Wdolinie mieszkają potomkowie pierwszych osadników i – tak jak ich przodkowie – żyją w zgodzie z Pachamamą, Matką Ziemią, boginią grzmotów i błyskawic. Jednak najazd Hiszpanów dał miejscu mieszankę religii katolickiej i rdzennych wierzeń. Dlatego świętuje się zarówno Inti Raymi – Święto Słońca, jak i Wielkanoc.

CAŁKIEM NOWY ZABYTEK

Mówi się że około 10 tys. lat temu zaczęli przybywać nomadowie – rdzenni Omaguaca, którzy nadali nazwę dolinie i zbudowali pierwszą osadę. Jej ruiny można oglądać w Tilcarze, najbardziej turystycznym miasteczku w okolicy. Na 18 ha znajdują się pozostałości po kamiennych chatach, zagrodach dla zwierząt, miejscach ceremonialnych. Osada nazywa się Pucará, co w języku keczua oznacza twierdzę, ale nie ma tam żadnych konstrukcji obronnych. Możliwe, że została

tak nazwana ze względu na strategiczne położenie na wzniesieniu, idealne do obserwacji całej doliny.

Pierwsi mieszkańcy wierzyli w życie pozagrobowe. Zmarłych chowali w okrągłych małych dołach w pozycji embrionalnej. Do grobu wsadzali jedzenie, instrumenty muzyczne, przedmioty codziennego użytku, a następnie zasypywali mogiłę kamieniami. Dziś są tu pozostałości po około 100 grobach.

W najwyższym punkcie osady, na wysokości ok. 2500 m n.p.m., znajduje się monument w kształcie piramidy. Został zbudowany w 1935 r. ku czci archeologów, którzy rozpoczęli tu badania. Smutne jest to, że przy okazji tworzenia tej piramidy budowniczy zniszczyli antyczne domy, warsztaty i główny plac osady. W dodatku budowla zupełnie odbiega od stylu architektonicznego wioski. Nie zmienia to faktu, że jest najbardziej obleganym i fotografowanym obiektem w Pucarze.

Nieco poniżej wzniesienia znajduje się ogród botaniczny El Jardín Botánico de Altura. Warto do niego wstąpić, by zobaczyć ogromną różnorodność kaktusów: siwogłowe, okrągłe jak piłki lub potężne i wysokie. Wszystkie rosną też w terenie, ale w ogrodzie można oglądać je w jednym miejscu i poznać ich nazwy.

Turyści zazwyczaj wybierają miasteczko Tilcara na bazę do zwiedzania całej doliny, bo znajduje się w centrum atrakcji. Ja jednak wybrałam Purmamarca, której nazwa oznacza Osadę Dziewiczej Ziemi (inne źródła tłumaczą ją jako Pustynne Miasto).

PIRAMIDALNA GŁUPOTA

Monument ten zbudowano w Pucarze w 1935 r. na cześć archeologów, którzy zaczęli tu badania. Zniszczono tym samym wiele antycznych budowli.



FOT. THERESA WYSTRACH



Aby być wśród kolorowych wzgórz, nie trzeba nigdzie dojeżdżać, wystarczy pięć minut spacerem. Dzięki temu można wędrować, gdzie się chce i jak długo się chce, obserwować, jak zmieniają się kolory gór o różnych porach dnia, jak wyglądają, gdy oświetla je księżyc. I to właśnie w Purmamarce znajduje się jedna z piękniejszych atrakcji całego wąwozu.

GÓRA SIĘDMIU KOLORÓW

Oslania Purmamarce wachlarzem kolorów: czerwonym, różowym, fioletowym, pomarańczowym, szarym, zielonym, żółtym, białym... Naprawdę jest ich tylko siedem? Słynna jest jedna góra, bo ma najbardziej wyróżniające się barwy. Jednak zaraz za nią „wyrastają” kolejne, o różnych odcieniach, kształtach. Każdą można by nazwać równie pięknie. Zachwyt kolorami idzie w parze z poczuciem wolności. Bo ścieżki nie są oznaczone, niewiele jest miejsc, na które wejść nie wolno. Co krok widać coś, co zatrzyma nas na dłużej: czerwone jaskinie, lasy kaktusów, liczne miradory (punkty widokowe na szczytach). Kusi, by wdrapywać się coraz wyżej, bo kolejne wzgórza

pojawiają się na horyzoncie, a ten sam pagórek z innej strony zyskuje zupełnie nowy wygląd.

Są również rozwiązania dla tych, którzy nie lubią włączyć się bez celu. Paseo de los Colorados to ścieżka dookoła Góry Siedmiu Kolorów, którą zorganizowano tak, by można było nawet przejechać samochodem. W każdym miasteczku w dolinie jest informacja turystyczna, gdzie można wykupić wycieczkę z przewodnikiem, który zaprowadzi do różnych unikalnych miejsc oraz opowie o roślinności i historii regionu.

Wędrowanie przez wzgórza jest jak cofanie się w czasie. Nie tylko każdy krok postawimy w innym kolorze, lecz także w innej epoce! Wszystkie wzgórza są skałami osadowymi morskimi, ale powstały w różnych erach. Najwięcej, bo 600 mln lat, mają skały o kolorze szarym, ciemnozielonym i fioletowym, następne w kolejności są fioletowe, ciemnoróżowe i białawe – te powstały 540 mln lat temu. Kolory od jasnoszarego do żółtawego liczą 505 mln lat, a czerwone powstawały w okresie od 144 do 65 mln lat temu. Najmłodsze są te pokolorowane od czerwonych po jasnoróżowe, liczą od 65 do 21 mln lat.

OSADA DZIEWICZEJ ZIEMI

Tak tłumaczy się nazwę miasteczka Purmamarca, choć niektóre źródła mówią też o Pustynnym Mieście. Leży u podnóża Góry Siedmiu Kolorów.

Czasami, gdy zdobywamy jeden szczyt, nasze buty stąpają po kwarcu, innymi razem po piaskowcu kwarcowym, żwirze, łupkach, glinach, iłach itd. Dzięki podstawowej wiedzy geologicznej zwykły spacer może zamienić się w unikalne doświadczenie. Tylko czy tak bajeczne kolory mogły powstać bez krzty magii?

MAGICZNE PONCZO

Według legendy gdybyśmy przyjechali tu tysiące lat temu, zobaczylibyśmy zgoła inny widok. Góry były szare, nudne i brzydkie. Ale przybył mężczyzna, zwany Kalawaya, wysłany przez Inków z misją, by leczyć ludzi. Pewnego dnia spotkał dziewczynę w ciąży o imieniu Sumaj Wara (Piękna Gwiazda). Dotknął jej brzucha i przepowiedział, że urodzi silnego chłopca, który będzie służył całej wiosce. Polecił jej, by uszyła synowi ponczo w kolorach tęczy i wręczyła mu, gdy będzie dorosły. Zanim Kalawaya odszedł, podarował jej farby z minerałów, nasion, korzeni i kory drzew z różnych stron świata, by zafarbować nici z wełny lamy. Ostrzegł ją: „Pamiętaj, że ponczo, które zrobisz, będzie miało magiczne moce.

Musisz włożyć w nie całe swoje serce, uszyć je z miłością”.

Syn Sumaj dostał imię Viltipoco. Gdy był już dorosły, matka w obecności całej wsi wręczyła mu magiczne ponczo. Viltipoco był bardzo wzruszony i natychmiast je założył. Jakiś czas później do wioski dotarły złowrogie wiadomości, że u południowych wybrzeży rzeki Xibi Xibi spotkano konkwistadorów. Viltipoco nie zwlekał, spotkał się ze swymi braćmi z doliny i stworzyli grupę ponad 10 tys. odważnych wojowników. W tym czasie Francisco de Argañaraz y Murguía, gubernator prowincji Jujuy, dotarł do Purmamarki wraz z obstawą. Zobaczył Viltipoco, siedzącego w cieniu wielkiego drzewa algarrobo, i zaatakował go. Viltipoco był bardzo dzielny i bronił się długo, ale powalił go mocny cios w plecy. Został uprowadzony. Jego matka, pogrążona w rozpacz, trzymała przy piersi ponczo i błagała, by wrócił.

W nocy zerwała się burza z piorunami, a gdy nastał świt, na niebie pojawiła się gigantyczna tęcza, a wzgórza błyszczały w słońcu kolorami. Mówią, że góry zmieniły się w kolory poncza Viltipoco, który od tej pory chroni wioskę już na zawsze.

UBIERZ SIĘ W LEGENDĘ

Na targowisku rękodziel można kupić takie ponczo, jak to z legendy, które uchroniło miasteczko przed zagładą.



FOT. MARZENA WYSTRACH

Wróćmy jednak na chwilę na ziemię. Dziewiczą i równie interesującą. Rozglądnijmy się co nieco po miasteczku. Czy znajdziemy ślady legend? Owszem, i to już na głównym placu. Codziennie odbywa się tam targowisko rękodziel i produktów typowych dla regionu. Można kupić poncza, również takie, jakie według opowieści dostał od matki Viltipoco, w kolorach tęczy i z wełny lamy. Zaraz obok rzuca się w oczy ogromne drzewo

cukierki, podaje się ją z miodem i serem kozim, dodaje do zup, nadziewa się słodkie pierożki oblane białym lukrem. Dla mięsożerców do wyboru są rarytasy z lamy w różnych postaciach: kiełbasy, wędliny, kotlety, mięso marynowane, suszone. Na ulicy popularne są grille, na których smażą się tortille, w postaci okrągłych placków lub w formie dużego pieroga z nadzieniem z koziego sera, kukurydzy, szynki, pomidorów i cebuli. Ziół rosnących



KOLCZAŚCI LUDZIE

„Zielony człowieku, który jesteś na wzgórzach, ubrany w kolce” – ku czci kaktusów pisze się tu wiersze.

z poskręcanyimi konarami: „Algarrobo, wiek: około 700 lat. Drzewo rośnie na miarę marzeń swoich ptaków. Nie niszczy go, te marzenia na to zasługują” – przeczytamy na tabliczce. To właśnie pod nim został złapany Viltipoco. Algarrobo negro (*Prosopis nigra*) to miejscowa nazwa drzewa, które w Polsce nie występuje. Pomimo pustynnego charakteru regionu jest ich tu całkiem sporo. Ich drewno służy do budowy mebli, a także do produkcji rękodziel, np. matero do picia yerba mate. Miejscowi zrywają z gałązek algarrobo małe czerwone owoce. Używają ich do robienia mąki, do ciast, a także do celów medycznych (wspomaga chorych na astmę).

Tutejsza ludność żyła i nadal żyje z uprawy kukurydzy, ziemniaków, komosy ryżowej i dyni. Szczególnie jeden jej gatunek jest typowy dla regionu. To dynia figolistna, zwana *cayote*, z której wyrabia się marmolady, likiery,

na płaskowyżu używa się do produkowania likierów, marmolad i słodczy.

Turystów jest sporo i są to głównie Argentyniacy. Dla tych spoza prowincji miejsce jest nieco egzotyczne, bo z Jujuy blisko już do Boliwii, kulturowo i geograficznie. Na kempingach panuje swojski klimat. Ktoś przywiezie gitarę lub *charango*, czyli niewielki andyjski instrument strunowy. Nawiązywaniu kontaktów sprzyja yerba mate, którą zazwyczaj pije się wraz z innymi. Popularna jest też *parrillada*, czyli grillowanie na ceglanych rusztach do smażenia steków (*asado*).

ZIELONY CZŁOWIEK UBRANY W KOLCE

Na uliczkach Purmamarca mijają się często domy z *adobe* (cegły suszonej na słońcu, z gliny lub mułu ulepionego ze słomą i kamykami),



TECZĄ MALOWANA

Ile kolorów widać na zdjęciu? Według nazwy tej góry, powinno ich być 14, ale tu dochodzą jeszcze te tworzone przez tęczę.



FOT. MARZENA WYSTRACH

z dachami z desek kaktusa, przykrytymi glinianą papką. Z kaktusów robi się także m.in. kosze na śmieci, ławki, drzwi i rękodzieła. To dlatego, że to właśnie sukulentki przeważają nad drzewami, a ich drewno jest lekkie i wytrzymałe. Używa się do tego kaktusa o nazwie *el cardón*. Występują dwa typy tego słynnego zielonego gościa: *Trichocereus pasacana*, z żółtymi lub białymi kwiatkami, oraz *Trichocereus poco* – z kwiatkami czerwonymi. Pisze się wiersze i piosenki ku ich czci: „Zielony człowieku, który jesteś na wzgórzach, ubrany w kolce, krew z bawełny, wznoszący ręce ku niebu, oferujący kwiaty dla naszego pana” („Zamba del Cardón” Domingo Rios). Krążą o nich legendy. Mówi się, że żył pasterz, który zakochał się w córce *curaca* (szefa społeczności). *Curaca* nie chciał takiego partnera dla córki, ale młodzi byli tak zakochani, że uciekli z miasta, a ojciec wyruszył w pogoń. Zbudowali ołtarzyk z kamieni, gdzie złożyli w ofierze wszystko, co przy sobie mieli.

Kiedy ojciec dziewczyny był już blisko, ołtarzyk otworzył się i wciągnął do środka zakochanych. Obok wyrosła dziwna roślina, dotychczas nieznana. Wysoka, prosta, pokryta

kolcami. To był pasterz zamieniony w kaktusa, wznoszący swoje ręce w stronę nieba w geście dziękczynienia. Mówi się, że kiedy zbliża się burza, z kaktusa wyrasta biały kwiatek, w podzięcie za deszcz, który użyźnia glebę. To ukochana pasterza, zamieniona w kwiat przez Pachamamę.

Nie doczekałam się burzy, by sprawdzić, czy to prawda, a czas uciekał i trzeba było żegnać się z tym pięknym i pełnym legend miejscem. Na zakończenie przygody z wózkiem Humahuaca wybrałam się na punkt widokowy Hornocal, z którego można podziwiać górę czternastu kolorów. Czułam, że to będzie dobre miejsce na pożegnanie. Niestety, zebrały się chmury i zaczęło kropić. Już myślałam, że z widoku nici, bo kolory skał najpiękniej wyglądają oświetlone słońcem. Gdy spojrzałam na słynną górę, zakręciło mi się w głowie. Już nie wiem, czy to od wysokości tych ponad 4 tys. m n.p.m., czy od widoku, jaki miałam przed oczami. Góra czternastu kolorów stała przede mną w całej krasie, chmury odsłoniły słońce i jedynie tęcza „zasłoniła” cały widok...

Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż uwierzę, że ten krajobraz to nie efekt magii! ○

DRZEWO MARZĘĆ

Algarrobo ma 700 lat i – jak napisano na tabliczce – „rośnie na miarę marzeń swoich ptaków”.



Marzena Wystrach

Podróżniczka, blogerka, miłośniczka górskich wędrówek. Wraz z mężem Krzysztofem uprawia wspinaczkę drzewną w Polsce i podczas dalekich podróży.

www.wystraszeni.pl

EUROPA | Słowenia

WAKACJE Z ADRENALINĄ

Radostław Okieńczuk

SPADAJ NA POWITANIE

Przywitanie ze Słowenią
to 55 m lotu z mostu
widokowego w Solkan.

Słowenia to raj dla miłośników aktywnego spędzania czasu, kryjący wiele skarbów natury, które docenią poszukiwacze przygód. Na przybyszów czekają skałki wspinaczkowe, bungee, rafting, kanioning, lodowate potoki, mnóstwo zieleni, górskie krajobrazy i dużo przestrzeni.

Do Słowenii wjeżdżamy od strony Włoch. Trafiamy w okolice miejscowości Nova Gorica w zachodniej części kraju. Poszukujemy spotu wspinaczkowego Dolga Njiva, który powinien znajdować się parę kilometrów dalej na północ. Wiem, że poszukiwania nie będą łatwe. Mamy namiary tylko w języku włoskim, nie udało nam się znaleźć nikogo, kto umiałby to przetłumaczyć na angielski. I tu pierwszy szok kulturowy w Słowenii. Pomaga nam sprzedawca brzoskwiń. To młody chłopak, który biegle mówi po włosku, angielsku i oczywiście słoweńsku. Przy okazji pogawędki częstuje nas brzoskwiniami i opowiada o tej części kraju. Kelnerka w restauracji, przypadkowo spotkany rowerzysta i wszyscy inni też mówią po angielsku. Odnajdujemy skałki i wszystko się dobrze zapowiada.

AJAJAJ, EJEJEJ I LOT Z MOSTU

Z trudem pokonujemy kilka dróg o oryginalnych nazwach: Ajajaj i Ejejej czy Neč do Neča. Łatwiejsze z nich są w przedziale 4a-5a, ale dla wprawionych wspinaczy znajdą się również znacznie trudniejsze. Miejsce jest zacienione i mało uczęszczane. W ciągu kilku sesji spotykamy zaledwie dwóch Włochów i kilku Słoweńców. Żeby znaleźć ten spot, wystarczy zaparkować auto w trzecim dostępnym miejscu, 2-3 km na północ od restauracji Dolga Njiva. Tę restaurację też warto polecić. Serwują znakomite szaszłyki *čevapčiči* z grillowanymi warzywami i inne rewelacyjne potrawy z tradycyjnego węglowego rusztu. Można tutaj też spędzić noc na kempingu. W sam raz, aby kolejnego dnia ponownie wyruszyć na skałki.



NIEZŁY KOZJAK

Wodospad Kozjak ukryty na Szmaragdowym Szlaku w okolicy miejscowości Kobarid.

FOT. RADOŚLAW OKENIŃSKI



W zamian otrzymujemy kilka sekund wspinających wrażeń, co w cenie poniżej 1 EUR za metr lotu daje dość dobry przelicznik. Ela skacze pierwsza i robi to z wyjątkową gracją i pełną kontrolą – leci w idealnej pozycji pionowo w dół. Czy ona naprawdę robi to po raz pierwszy? Mimo wewnętrznego zwątpienia wiem, że już za późno, by się wycofać. Zdecydowanie lepiej mieć to już za sobą. Trzy... dwa... jeden... bungee!

I tu klops. W obawie przed niedokręceniem przesadzam trochę z wysokiem, przekręcam się ponad 270 stopni i lecę w dół prosto na plecy. Czy bolało? Nie wiem. W ciągu tych kilku sekund emocje przechodzą na inny poziom. Strach staje się sprzymierzeńcem, ból zmienia się w adrenalinę, a krzyk to tylko zewnętrzzenie radości i satysfakcji, że się udało!

Na dole czeka na nas kajak pneumatyczny. Widzę go doskonale, gdy wiszę do góry nogami – kilkanaście metrów wyżej. Gość w kajaku pomaga wyczepić się z uprzęży i przewozi na brzeg rzeki. Dopiero na stałym gruncie zaczynają docierać pozostałe emocje. Tuż po ochłonięciu, gdy serce powraca do normalnego rytmu, a umysł odnajduje rzeczywistość, jednoznacznie stwierdzamy, że trzeba to będzie powtórzyć!

Oglądamy most pod różnymi kątami, patrzymy na skaczących na bungee z boku, z góry i z dołu, a przy okazji trafiamy na zawody

Przed nami deszczowy sobotni poranek. Z czasem nadciąga burza, myślę więc, że niestety zostanie odwołane zaplanowane na dziś bungee. Co za pech. Okazuje się jednak, że na Słowenii nawet ulewny deszcz nie stanowi żadnej przeszkody. Tłumaczę to sobie tym, że mają po prostu inne liny niż te stosowane w bardziej rozreklamowanych miejscach. W każdym razie prowizoryczne stanowisko przypięte do mostu i cała ekipa wzbudzają zaufanie, szczególnie po tym, jak zobaczyliśmy kilka osób, które wyszły z tej przygody w jednym kawałku.

Przed nami 55-metrowy lot z mostu Solkan zawieszono nad rzeką Soczą. Przyjemność ta kosztuje odrobinę stresu i 50 EUR.

BAZA LUDZI Z MGŁY

Baza wypadowa w miejscowości Bovec. Widok na szczyt Svinjak. Nawet w niepogodę krajobraz da się polubić.



FOT. RADOŚLAW WĘCZUK



FOT. RADOŚLAW OKENIŃCZYK

kajakarskie. Okazuje się, że nieopodal mostu na Soczy są rozgrywane mistrzostwa Europy juniorów. Tam poznajemy Kubę Brzezickiego, jednego z polskich kajakarzy górskich, który tego dnia zajmuje drugie miejsce. Aż by się popływało kajakiem...

NA SZMARAGDOWYM SZLAKU

Po południu wybieramy się ponownie na skałki, a cały dzień uwieńczamy wieczorną biesiadą w knajpie Dolga Njiva. Przez kolejne dni będziemy powoli przemieszczać się na północ wzdłuż Szmaragdowego Szlaku rzeki Soczy. To prawdopodobnie najciekawsza część Słowenii, która jest naszpikowana szlakami pieszymi, punktami widokowymi, atrakcjami dla poszukiwaczy wrażeń i zabytkowymi miasteczkami, które kryją wiele tajemnic.

Krčnik to wyrzeźbiony przez przyrodę most skalny. W Kožbana udajemy się na jeden ze szlaków Kwitnącej Wiśni, a konkretnie na pętlę o nazwie Trcinka, która prowadzi przez drobne wioski, plantacje winogron, lasy i kamieniste ścieżki. Szlak jest dobrze

oznakowany, więc raczej trudno się zgubić. We wszystkich napotkanych wioskach panuje spokojna i beztraska atmosfera zawieszenia w czasie.

Jedziemy w stronę Kanal, zabytkowego miasteczka o przeważającej kamiennej zabudowie. Słynie ono z rozgrywanych co roku

SKOKI W KANALE

Kamienny most w miejscowości Kanal. To tutaj jest organizowany doroczny lipcowy festiwal skoków do wody. Najodważniejsi skaczą z wysokości 25 m.



FOT. RADOŚLAW OKENIŃCZYK

RZĘKA Z CHARAKTEREM

Kajaki na Soczy. Ekstremalny charakter słoweńskich rzek stwarza idealne warunki do uprawiania kajakarstwa górskiego.



FOT. RADOŚLAW OJENIŃSKI

ZABAWING W KANIONING

Kanioning w dolinie Soczy, czyli schodzenie w dół rzeki w kanionie Sušec i starania o wyjście z tej zabawy bez kontuzji.

DLA KAŻDEGO COŚ TRUDNEGO

Wspinaczka skałkowa na spocie Dolga Njiva niedaleko miejscowości Nova Gorica. Jest tu mnóstwo dróg o zróżnicowanej trudności.

zawodów w skokach do wody z mostu o wysokości 18 m. To argument za tym, aby pojawić się tu w sierpniu.

Zatrzymujemy się na noc w Tolminie. W miejscu, gdzie potok Tolminka wpływa do Soczy, rozpoczyna się Triglavski Park Narodowy. W tutejszych przełomach Tolmin Gorges występują ciekawe formacje skalne, które doczekały się nazw w stylu Głowa Niedźwiedzia czy Jaskinia Dantego. Wtórują im Most Diabła i inne przewieszane, chybotliwe mosty, które umożliwiają poznawanie zakątków rezerwatu. Jednym z najbardziej spektakularnych wodospadów na naszej trasie jest Kozjak w okolicy miejscowości Kobarid.

Z RAFTINGU NA KANIONING

Czasem w podróży trzeba zrobić pranie i trochę się ogarnąć. Po kilku tygodniach nastał ten odkładany w czasie moment. Dojeżdżamy

do Bovec, miasteczka, które uchodzi za lokalne centrum sportów ekstremalnych. Parkujemy na polu namiotowym Polovnik i w tym momencie zaczyna padać deszcz. Ubrania potrzebują dokładnie trzech dni, aby wyschnąć, szukamy więc sposobów na wypełnienie czasu. Na dobry początek zapisujemy się na rafting. Podobno w odcinku przy miejscowości Žaga rzeka ma trudność klasy I-III.

Po raftingu stwierdzamy, że jednak przydałoby się nieco więcej wrażeń. Chyba to kwestia zastąpienia odcinków klasy I i II tymi klasy III, bo optymalna trudność dla początkujących to właśnie III+. Warto zapamiętać na przyszłość, że w okolicy są odcinki o dowolnej trudności.

W plan standardowego dnia staramy się na bieżąco wplatać biegi górskie. Z okolicznych szczytów zdecydowanie polecam Svinjak, na którym byłem dwa razy. Na górę prowadzi ciekawa trasa, w większości przez



FOT. RADOŚLAW OJENIŃSKI



FOT. RADOŚLAW OKIEJCZYK

las, ale w końcówce pojawiają się skałki i elementy techniczne.

Ustały deszcze, wyschły ubrania, więc wyruszamy na wschód. Nocujemy tuż przy skałkach Bellevue przy miejscowości Ribčev Laz nad Jeziorem Bohinjskim. O poranku niespodzianka. Budzi nas strażnik o 6.58 i stawia zarzut nocowania w Triglavskim Parku Narodowym, który „owszem jest otwarty, ale dopiero od 7 rano”. Po drobnych negocjacjach i podpięciu wykroczenia pod inny paragraf (złe parkowanie) z początkowych 100 EUR na osobę schodzimy do 50 EUR za dwoje.

Skoro już wstaliśmy, pozostaje wykorzystać ten dzień. Spot Bellevue oferuje zróżnicowane trasy, które są rozlokowane w kilku niezależnych strefach, dzięki czemu znajdują się drogi na każdy poziom umiejętności i raczej nie bywa tu tłoczno. Spędzamy też trochę czasu na poznawaniu okolic jeziora. Przemierzamy gęste lasy i wchodzimy na różne punkty widokowe. Jest tu nawet resort narciarski, do którego prowadzi szlak z Ribčev Laz do Rjava Skala. Zatrzymujemy się w miejscowości Srednja vas i wchodzimy do schroniska Uskovnica. Dojeżdżamy też do miasteczka Radovljica, a tam trafiamy na coś w rodzaju festiwalu rycerskiego.

Jeziro Bled przyciąga turystów malowniczą lokalizacją. Jest otoczone szczytami

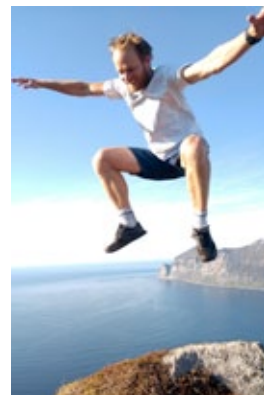
górkimi i zielonymi lasami, a na środku znajduje się mała wyspa ze średniowiecznym zamkiem. Nasze rozrywki w żadnym wypadku nie zostają uszczuplone tylko do spacerów po okolicy. Pojawia się możliwość kanioningu.

Skoro da się skakać na bungee w deszczu, to tym bardziej nie ma problemu ze spławianiem się skalistym korytem rzeki i skakaniem z wodospadów. Rzeka, którą będziemy przemierzać, znajduje się kilkanaście kilometrów na zachód od Bledu. Mimo opieki instruktora i sugestii, jak i gdzie należy skakać, aby nie skrócić kostki, cztery z dwunastu osób doznały drobnych kontuzji, w tym także ja podczas zjazdu na zip-line. Najważniejsze, że Ela na każdej przeszkodzie skakała jako pierwsza i ostatecznie wyszła bez uszkodzeń z największym uśmiechem. Przygoda warta polecenia. Dodam, że tutaj nie mam zastrzeżeń co do braku emocji, jak to miało miejsce w przypadku raftingu, a klimatu dodają zalecenia instruktora w stylu: „Tutaj jest płytko, więc aby nic nie złamać, musicie podczas skoku podkulić kolana i wylądować dokładnie w tym miejscu”.

Przed rozstaniem ze Słowenią pozostaje nam jeszcze trochę biegania po górach i rozkoszowania się pięknem okolic Triglavskiego Parku Narodowego. Do zobaczenia, na pewno tu wrócimy! ○

SZCZYT FLAGOWY

Widok na panoramę wapiennych Alp Julijskich i najwyższy szczyt Słowenii (Triglav, 2864 m n.p.m.) od strony północnej. Wizerunek tej góry widnieje na fladze i herbie kraju.



Radosław Okieńczyk

Fascynat biegów górskich i wielu innych sportów, miłośnik przyrody i aktywnego stylu życia. Uważa, że poznawanie świata to nie sposób na oderwanie się od codzienności, lecz właśnie sposób na codzienność. O swoich przygodach pisze na stronie www.QuestForMore.com.

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

CROWDUP!

Podróż, muzyka, technologia, literatura i sport w jednym miejscu – wszystkie te obszary łączy CrowdUp! Festiwal Finansowania Społecznościowego, organizowany przez największą w Polsce platformę crowdfundingową PolakPotrafi.pl. Impreza odbędzie się 24 września w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu. Nie zabraknie strefy podróżniczej, której Miesięcznik Poznaj Świat jest partnerem. W programie znajdują się panele: podróżniczy i literacki, warsztaty z Design Thinking i crowdfundingu oraz projekcje filmowe, spektakl teatralny i koncert. Strefa podróżnika zgromadzi samochody, które dzięki finansowaniu społecznościowemu objechały różne zakątki świata. Wstęp na wydarzenie jest bezpłatny. www.crowdup.pl

CrowdUp!
24 września,
CK Zamek, Poznań



Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK
partnerem strefy
podróżniczej!



TAŃCZĄCA NA MOTOCYKLU



Już niebawem 4. etap podróży rozpocznie Tańcząca ze Światem. Tym razem Teresa Chudeca postanowiła połączyć swoje największe pasje: podróż, taniec i motocykl. Pojedzie na Bałkany na motocyklu w poszukiwaniu kultury przekazywanej poprzez taniec. Ma w planach dotrzeć do mniej znanych miejsc, w których taniec wciąż ma duże znaczenie i gdzie są przepiękne trasy motocyklowe. Wybiera się do Serbii, Bośni i Hercegowiny oraz Czarnogóry. Przejedzie również przez Czechy, Węgry, Austrię, Chorwację i Słowenię. Planowany dystans to 4500–5000 km. Muzyka i taniec odgrywają ważną rolę w bałkańskiej kulturze. Tańce bałkańskie to istny kocioł. Poddawane były wpływowi wielu nurtów i kultur: greckiej, tureckiej, albańskiej, bułgarskiej, a nawet ukraińskiej i polskiej.



Z KOMPASEM W BORZYTUCHOMIU

XIII edycja rajdu „Z kompasem” odbędzie w ostatni weekend września w pięknej zachodniej części Kaszub – w Borzytuchomiu. Piękno przyrody, cisza, spokój, świetne warunki do spacerowania, biegania, jazdy na rowerze – w okolicach Borzytuchomia znajdziemy wszystko, czego potrzebujemy do wspaniałej, rajdowej zabawy. Do wyboru jest osiem tras: pięć pieszych (Smerfowa 10 km, Różowa 15 km, Zielona 21 km, Czarna 21 km oraz Czerwona 50 km) oraz trzy rowerowe (Kubusiowa 21 km, Żółta 42 km oraz Fioletowa 100 km). Dwie najtrudniejsze, piesza „pięćdziesiątka” oraz rowerowa „setka”, uczestniczą w rozgrywkach Pucharu Polski. Na uczestników czekają także nagrody. Zapisy startują 15 sierpnia. www.zkompasem.pl



SPOTKANIA NA 17 POŁUDNIKU

W dniach 1–3 września w urokliwej miejscowości Pasterka, położonej tuż przy granicy z Czechami, odbędzie się kolejna edycja Dolnośląskiego Festiwalu Podróżników 17 Południk. W góry południowego Belize zabierze słuchaczy Katarzyna Biernacka – grotołaz i fotograf jaskiniowy. Mateusz Waligóra, specjalista od wyczynowych wypraw w najbardziej odludne miejsca, opowie o rytualnym marszu lodowym szlakiem himalajskiej rzeki Zanskar. Anna Jaklewicz przybliży unikatowe zwyczaje mieszkańców Indonezji. Bezdroża Peru, Kolumbii, Argentyny, Boliwii, Ekwadoru i Chile przemierzyła Aneta Skórnicka – trener myślenia wizualnego. Wędrowkę po afrykańskim buszu i sawannie zrelacjonują ambasadorzy ochrony dzikich gepardów – Tomasz i Alicja Woźniak. Filmy i pokazy będą prezentowane na dużym ekranie, w namiocie dla kilkuset osób. www.17poludnik.pl



WEEKENDY Z ZABYTKAMI

Europejskie Dni Dziedzictwa to święto zabytków, które odbywa się już od 25 lat w Polsce w drugi i trzeci weekend września. Na terenie całego kraju organizatorzy przygotowują wiele wydarzeń przybliżających uczestnikom zabytki oraz historię miast i regionów. To okazja do edukacji przez zabawę, doświadczenie, przeżycie. Ogromna różnorodność dziedzictwa pozwala pomysłowo zagospodarować ten



czas. Można uczestniczyć w rodzinnej zabawie, nocnym zwiedzaniu, odkrywaniu nieznanych miejsc. Uczestnicy mają okazję poznać tajemnice swojej miejscowości w intrygujący sposób, nauczyć się nowych umiejętności, zapamiętać trochę dat z historii, pobyć razem.

WYCINANKI DOKOŁA ŚWIATA



We are here expedition to roczna wyprawa dookoła świata. Wyruszają na nią Magda Sankiewicz, absolwentka kulturoznawstwa, i Joanna Górska, absolwentka edukacji artystycznej. Głównym celem jest pomoc w różnych instytucjach na całym świecie, tam gdzie potrzebni są wolontariusze. Elastyczny plan zakłada odwiedzenie Gruzji, Armenii, Nepalu, Tajlandii, Wietnamu, Australii, Argentyny, Peru i Ameryki. Dziewczyny będą tam pracować i pomagać ludziom i zwierzętom. Będą prowadzić warsztaty upcyklingowe, na których z surowców wtórnych powstaną wycinanki i szablony wykorzystujące motywy polskiej sztuki ludowej.

Gdy świat wstrzymał oddech...

Transmisje na żywo we wszystkich krajach świata, miliardy widzów, szok i niedowierzanie komentatorów. Kiedy dwa samoloty uderzyły w nowojorskie wieże World Trade Center, chyba wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz świat nieodwracalnie się zmienił. Najszybciej do nieuchronnej wojny na Bliskim Wschodzie byli przygotowani polscy operatorzy z jednostki GROM.

Wyczerpujący trening rozpoczęli jeszcze w Polsce: skoki z tankowca we wzburzone fale Bałtyku, zdobywanie platformy wiertniczej, trening abordażu – to wszystko miało ich przygotować do wyzwań podczas operacji na wodach Zatoki Perskiej.

Ich domem na długie miesiące stał się wielki hangar w amerykańskiej bazie Doha, codziennością – kanoady na spalonej słońcem pustyni i niebezpieczne operacje na wodach Zatoki. Dzięki ich poświęceniu, profesjonalizmowi i ciężkiej pracy zasłużyli na braterstwo broni i przyjaźń żołnierzy z legendarnej jednostki NAVY SEAL. Ta misja to dowód na to, jak ciężko operatorzy GROM-u musieli walczyć o swoje miejsce w historii. Wydawnictwo Bellona.



BEATA I KAWAŁEK ŚWIATA

Beata Tarasiuk, do niedawna specjalistka ds. zarządzania projektami, postanowiła porzucić pracę w korporacji, aby zrealizować swoje marzenie. We wrześniu wyruszy w samotną, kilkumiesięczną podróż po najpiękniejszych zakątkach Azji Południowo-Wschodniej. Odwiedzi m.in. Tajlandię, Laos, Wietnam, Malesję oraz Indonezję. Głównym celem wyprawy będzie poznanie codziennego życia lokalnej ludności, jej kultury, obyczajów oraz pomoc w nauce języka angielskiego. Podróż będzie relacjonowana na blogu www.beaslife.pl.



Spotkania na krańcach ziemi

Encounters at the end of the world to wyprawa fotograficzna, która ma podsumować 5-letnie studia. Z początkiem września Karolina Grabowska i Aurelien Buttin rozpoczną wyprawę do USA i Kanady. W 4 miesiące pokonają ponad 20 tys. km. Podczas podróży Karolina stworzy pracę dyplomową, która będzie cyklem fotografii drogi, opowieścią o marzeniach i odkrywaniu nieznanych miejsc oraz poznawaniu ludzi z nimi związanych. Będą podążać szlakiem przetartym przez najlepszych w historii fotografów drogi, takich jak Alec Soth czy Ryan McGinley. Zobaczą ich świat własnymi oczami przy wykorzystaniu współczesnych mediów. Ukoronowaniem projektu będzie podwójna wystawa: w Łodzi, Warszawie i Paryżu.



Waligóra to postać o nadludzkiej sile. Ma zdolność pokonywania największych gór, które staną na jego drodze. Niezlomny i zawzięty, nie poddaje się słabościom i zawsze osiąga zamierzony cel. Teraz każdy może poczuć się jak on. Raid Waligóry to impreza, która jest przygodą w wielu wymiarach. Daje możliwość przeżycia górskiej przyrody, przemierzania najpiękniejszych szlaków, prowadzących do wyjątkowych miejsc. Formuła na orientację jest inspiracją do kreatywnego działania, daje możliwość wyboru własnej trasy pomiędzy wyznaczonymi punktami. Ciekawa rywalizacja z silną konkurencją to dla uczestników skuteczna forma motywacji do wysiłku. Do wyboru są 3 trasy: 50 km i 100 km na rowerze oraz 50 km pieszo. Głównym wyzwaniem jest pokonanie 50 km pieszo w limicie 11 godzin lub 100 km na rowerze w limicie 8 godzin. Ci, którzy tego dokonają, otrzymają zaszczytny tytuł Waligóry. Raid odbędzie się 27 września w Ochotnicy Dolnej. www.raidwaligory.pl

Marek i czaszka jaguara

To miały być wymarzone wakacje w Meksyku – zresztą wszystko jedno gdzie, najważniejsze, że Marek w końcu miałby tatę tylko dla siebie, z daleka od okropnej młodszej siostry. Ale wszystko poszło nie tak. W efekcie chłopiec leci do Ameryki Łacińskiej tylko z małymowym wujkiem



podróżnikiem, bez taty, bez komputera – bez sensu! Będą oglądać ruiny piramid, przedzierać się przez dżunglę w upale i bez końca wysłuchiwać opowieści o cywilizacji Majów. Przy okazji muszą dostarczyć tajemniczą przesyłkę starożytnemu plemieniu Lakandonów. Planowane wakacje szybko zmieniają się w nieprzewidywalną wyprawę, tym bardziej że w ślad za bohaterami podąża dwóch podejrzanych typków. Może jednak wcale nie będzie nudno? Pełna przygód powieść stworzona przez znakomity duet: sławnego podróżnika Marka Kamińskiego oraz scenarzystkę Katarzynę Stachowicz-Gacek trzyma w napięciu do ostatniej strony! Wydawnictwo Znak.

EUROPEJSKIE DNI DZIEDZICTWA



W DNIACH 9–10 I 16–17 WRZEŚNIA
ODBĘDZIE SIĘ 25. EDYCJA
EUROPEJSKICH DNI DZIEDZICTWA –
NAJWIĘKSZE W POLSCE
WYDARZENIE PROMUJĄCE
DZIEDZICTWO KULTUROWE.
W TYM ROKU SKUPI SIĘ NA
KRAJOBRAZIE I TOŻSAMOŚCI,
ESTETYCE PRZESTRZENI
MIEJSKIEJ I JEJ ZABYTKOWEJ
STRUKTURZE. HASŁO TEJ EDYCJI
TO „KRAJOBRAZ DZIEDZICTWA –
DZIEDZICTWO KRAJOBRAZU”.

Historia wydarzenia rozpoczęła się we Francji, gdzie w 1984 r. zostały zainicjowane Dni Otwartych Zabytków. Wówczas po raz pierwszy zapewniono publiczności bezpłatne zwiedzanie obiektów historycznych. Rada Europy, zainspirowana inicjatywą, postanowiła ją upowszechnić wśród innych państw europejskich.



Obecnie w Europejskich Dniach Dziedzictwa uczestniczy ponad 50 krajów, które promują tym samym swoje dziedzictwo oraz wspólne korzenie kultury europejskiej.

W Polsce EDD odbywają się od 1993 r. i od tego czasu ich popularność stale rośnie. Za sprawą bogatej oferty bezpłatnych wydarzeń kulturalnych impreza przywraca dziedzictwo lokalnym społecznościom, czyli mieszkańcom, którzy wokół zabytków żyją, a często nie zdają sobie sprawy, jak wartościowe są to obiekty i jak ciekawe historie skrywają.

Co roku na zwiedzających czeka ponad 1000 różnych atrakcji w 500 miejscowościach w Polsce. Są to m.in. spacery plenerowe, wykłady, warsztaty, koncerty, spektakle, festyny.

– *W tym roku będziemy chcieli zwrócić uwagę na krajobraz jako świadectwo działań naszych przodków oraz przyrody. Będziemy pokazywać pejzaż tradycyjny dla danego miejsca, piękno miast, wsi i natury oraz zachęcać do aktywnego odkrywania tych walorów. Tematem tym chcemy również podkreślić, jak ważna jest ochrona krajobrazu i dbałość o ład przestrzenny z zachowaniem historycznego układu miasta i zabudowy* – mówi prof. Małgorzata Rozbicka, dyrektor Narodowego Instytutu Dziedzictwa, instytucji koordynującej EDD w Polsce.

Każda edycja Europejskich Dni Dziedzictwa ma swoje oficjalne otwarcie, w tym roku ogólnopolska inauguracja odbędzie się w dniach 9–10 września 2017 r. w amfiteatrze Bramy Poznania ICHOT w Poznaniu.

25. Europejskie Dni Dziedzictwa
9-10 i 16-17 września 2017

Krajobraz
dziedzictwa
Dziedzictwo
krajobrazu

Udział w wydarzeniach jest bezpłatny / www.edd.nid.pl

Partnerzy medialni: KULTURA, TVP3, Polskie Radio, ORLEN WIELKI, PBA, PBA, Koordynator ogólnopolski, Patronat honorowy: Kultury



W programie inauguracji jest wiele atrakcji. 9 września o godzinie 18.30 odbędzie się koncert zespołu VOŁOSI, który tworzy muzykę inspirowaną tradycją i klasyką w połączeniu z nowoczesnością. Zespół jest zdobywcą wielu nagród, m.in. Grand Prix Svetozar Stracina dla najlepszego utworu world music w Europie. Po koncercie uczestnicy będą mogli poznać Ostrów Tumski w innej odsłonie – zostanie wykonany mapping na zabytkach wyspy.

10 września będzie można skorzystać z przygotowanych specjalnie na tę okazję animacji, tras zwiedzania i wycieczek – również po miejscach na co dzień niedostępnych!

Szczegółowy program inauguracji oraz wszystkich bezpłatnych wydarzeń odbywających się w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa znajduje się na stronie www.edd.nid.pl.

JAK SIĘ BIAJĄ KUBAŃCZYCY

Magdalena Zelewska

Na wyspie o byciu w reprezentacji marzy każdy z 20 tys. trenujących pięściarstwo mężczyzn poniżej 20. roku życia. Udaje się to nielicznym. Status społeczny medalowego boksera jest znacznie wyższy niż standardowego Kubańczyka – ma prawo do używanego samochodu, otrzymuje od państwa mieszkanie i dożywotnią pensję. Główną motywacją pięściarzy nie są jednak pieniądze. Wszyscy przeszli trudną szkołę, która wpoiliła im nowe ideały i priorytety – kubańską szkołę boksu.

Już od ponad pół wieku Kuba taśmowo produkuje światowej klasy pięściarzy. To, że od 1960 r. Kubańczycy zdobyli 67 medali, z których ponad połowa jest złota, mówi samo za siebie. Chyba nikomu, kto trochę interesował się boksem, nie trzeba przedstawiać wielokrotnych medalistów olimpijskich, takich jak Félix Savón, Teófilo Stevenson czy Guillermo Rigondeaux. W historii igrzysk Kuba miała 34 medalistów, więcej niż jakikolwiek inny kraj. Każdy z nich zachwycał doskonałym przygotowaniem motorycznym, dopracowaną do perfekcji techniką walki i swoistą inteligencją ringową.

BOKS MOTYWACYJNO- FILOZOFICZNY

Na czym polega fenomen skuteczności kubańskich pięściarzy? Nie jest przypadkiem, że medalowy boom pokrywa się z momentem przejścia władzy przez Fidela Castro, który właśnie na przełomie lat 60., na drodze przewrotu, obalił rządy Fulgencio Batisty i dokonał rewolucji także w kubańskim sporcie.

Nie znaczy to jednak, że boks w kulturze Kuby nie istniał i wcześniej. Pierwsze wzmianki o walkach pięściarzy pochodzą z 1909 r., a rok później nowojorski bokser chilijskiego pochodzenia założył pierwszą hawańską



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

akademię boks, w której szkolił adeptów walki na pięści. Wokół tych walk wyrósł silny rynek hazardu, ale i pojawiły się zamieszki na tle rasowym. Zróznicowana etnicznie Kuba

miała żyzny grunt pod wszelakie konflikty o charakterze kulturowym. Doszło nawet do tego, że dwukrotnie zakazano walk na kilka lat – aż w 1921 r. boks doczekał się swej prawnej akceptacji w postaci Narodowej Komisji Bokserskiej.

Przed nadejściem Fidela światową sławą cieszyli się tacy wirtuozi pięści, jak Eligio Sardiñas, znany jako Kid Chocolate (Cuban Bon Bon), Benny Paret (Kid) czy Gerardo González (Kid Gavilán). Wszyscy zachwycali techniką, różnorodnością płynnych manewrów, mówiło się o nich nawet, że tańczyli na ringu... Boks obok baseballu był wtedy jednak sportem dla plebsu. Bogacze uprawiali raczej tenis, żeglarstwo lub jeździectwo.

Wszystko zmieniło się, kiedy w 1962 r. Fidel uznał, że zawodowego boks, jako niezgodnego z ideą komunistycznego egalitaryzmu, należy zabronić. Postawił więc fachowców przed dylematem: opuścić ojczyznę i kontynuować karierę za granicą lub pozostać i dzielić się wiedzą i doświadczeniem z młodymi pięściarzami amatorskimi. Większość wybrała pierwszą opcję. Zasilili kluby w Miami na Florydzie (kultowy Fifth Street Gym), część w Meksyku lub na innych karaibskich wyspach.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

ĆWICZENIA W GIMNAZJUM

Diosney Lescay owija dłonie taśmą bokserską. Podobnie jak inni uczniowie gimnazjum Trejo, dwa, a czasem nawet trzy razy dziennie ćwiczy swoje umiejętności pod okiem Floresa.

PRASA FLORESA

Nardo Mestre Flores z dumą pokazuje stare wydanie francuskiego czasopisma, którego został bohaterem.

Castro jednak, jako były atleta i miłośnik sportu, kierował się dewizą: „Edukacja i sport filarami rewolucji”. Powołał więc nieistniejące wcześniej ministerstwo sportu, sprowadził ze Związku Radzieckiego specjalistów (m.in. Andreia Chervenko i Wasiliję Romanowa), którzy wcielali metody szkoleń rodem z ZSRR. Sport miał być prawem każdego, a więc – bezpłatny. Boks zaś, jako obok baseballu główna domena Kubańczyków, stał się instrumentem rywalizacji ze światem kapitalistycznym

motywatorem do jego uprawiania w epoce przedfidelowskiej były sława i pieniądze, tu przedstawiało się w opozycji cele wyższe, szlachetniejsze: ojczyznę i dumę.

CZARNY KSIĄŻĘ

Wielkich pięściarzy traktuje się w mowie propagandowej jak bohaterów, rewolucjonistów i żołnierzy na polu bitwy. „My, Kubańczycy, wszyscy jesteśmy bokserami. To na-



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

(zwłaszcza zniechęconą Ameryką) i kartą przetargową w komunistycznej propagandzie. Niektórzy twierdzą nawet, że kubański boks to nie tylko sport, ale cały system motywacyjno-filozoficzny. Podczas gdy głównym

„szpica” – twierdzi Savón, trzykrotny mistrz olimpijski i guru dzisiejszych pięściarzy. Sam odmówił propozycji płatnej walki z Mikiem Tysonem, podobnie jak jego poprzednik, Stevenson, nie zgodził się walczyć



WIELKIE NADZIEJE

Noel Hernandez z determinacją uderza w zużyty już bokserki worek. Mistrz w klasie juniorów stale ma nadzieję na zwycięstwo w wielkim turnieju. Liczy na mistrzostwo olimpijskie.

z Muhammadem Ali. Twierdził, że milion dolarów, jaki mu wtedy proponowano, w gruncie rzeczy niewiele znaczy wobec miłości ośmiu milionów Kubańczyków, którą zapewniała mu wierność zasadom Fidela...

Pensja boksera z reprezentacji sięga nawet 300 USD miesięcznie, co na warunki kubańskie jest kwotą horrendalną. Jeśli nie ma się na koncie znaczących sukcesów, zarabia się zaledwie 20 dolarów. Bokserkim amatorem można zgodnie z przepisami AIBA być tylko do 34. roku życia. Sportowcy po przekroczeniu tego wieku nie zostają jednak bez niczego, państwo trzyma dla nich kierownicze posady w zarządach klubów sportowych. Niekiedy dostają też pracę trenerów i zostają mentorami dla pięścicarzy młodszego pokolenia.

Jedną z takich postaci jest Nardo Mestre Flores, olimpijczyk, który przez 9 lat był w składzie Cuban National Boxing Team i ma na liczniku 398 walk. Karierę zaczął w wieku 18 lat w wadze muszej (48 kg) i z powodu problemów ze wzrokiem skończył ją znacznie wcześniej, niż się spodziewał. Gdy zawiesił rękawice na kołku, nie spoczął jednak na laurach. Do dziś szkoli przyszłych mistrzów

w Gimnasio de Boxeo Rafael Trejo, najstarszej szkole boks w Hawanie. Z dumą pokazuje mi swoje zdjęcie w francuskim czasopiśmie z lat 90., w którym jego osobie poświęcono całe cztery strony. Nazywa się go tam Czarnym Księciem Ringu.

– *Dziś, co mi pozostało? Wzrok już nie ten, forma nie taka.* – Klepie się pocziwie po zaokrąglonym brzuchu... – *Ale cały czas szkołę najlepszych. Idrisa Elbę znasz?* – pokazuje zdjęcie w telefonie. Okazuje się, że nawet znany aktor, kilkakrotny zdobywca Złotych Globów, który postanowił oszlifować swoje umiejętności w dziedzinie kick-boxingu, obrał sobie Floresa na mentora.

DOTKNAĆ I NIE DAĆ SIĘ DOTKNAĆ

Trenerzy zajmują się także rekrutacją przyszłych mistrzów, dlatego dużo czasu spędzają w terenie. Jeżdżą po prowincjonalnych szkołach, przyglądają się dzieciom i wypatrują potencjalnych talentów. Jeśli tylko młodzieniec ma dość długie ręce, smukłe nogi, skoordynowane ruchy, wykazuje chęć i motywację,

SZKOŁA BICIA

Tablica szkolna w gimnazjum Trejo prezentuje światowej sławy bokserów: Idrisa Elbę, Félixą Savóną i lokalnych pięściarzy, jak Rene Pedroso czy Namibię Flores Rodriguez – pierwszą reprezentantkę Kuby w boksie, która również się tu szkoliła.



przekonuje się jego rodziców do oddania go pod opiekę coacha. Po osiągnięciu obopólnej zgody trener staje się jakby członkiem

rodziny chłopca, dba nie tylko o jego regularne treningi, ale też czuwa nad odpowiednią edukacją i ogólnym rozwojem. Rene Pedroso, towarzysz po fachu Floresa, który zajmuje się najmłodszymi w stołecznym gimnazjum Trejo, twierdzi: – *My przede wszystkim przygotowujemy dzieci, by stały się częścią społeczeństwa. Nie dla rodziców je szkolimy, ale właśnie dla dobra społeczeństwa kubańskiego.*

Chłopcy, którzy rozpoczynają przygodę z pięściarstwem, mają najczęściej po 6–8 lat i w momencie podjęcia sportowej decyzji

PIĘŚCI W RUCH

Iosbel Alfonso oddałby wszystko, żeby móc reprezentować Kubę na mistrzostwach. Tymczasem, dzielnie wciela w życie zasadę numer jeden: boksuj.



angażują się na 6 dni ciężkiej pracy tygodniowo. „Dobra obrona zabija strach” – brzmi ulubione powiedzenie trenerów. Pierwszy rok nauki poświęca się więc niemal wyłącznie na opanowanie licznych technik obronnych. Dzieciaki, które ćwiczą pod musztrą Pedroso, często bardziej przypominają nowoczesnych performerów, powtarzających jakąś wyszukaną choreografię, niż szykujących się do batalii mężczyzn. Starsi podopieczni twierdzą nawet, że boks zawsze jest trochę jak taniec, w którym chodzi przede wszystkim o to, żeby dotknąć i nie dać się dotknąć...

Miałam okazję dłużej przyjrzeć się, jak Flores przygotowuje do walki trzech roślących osiłków, którzy na swoim koncie już mają niemałe sukcesy. Główną gwiazdą był jednak Noel Hernandez, mistrz w World Cadet Boxing Championship w kategorii wagi półciężkiej z 2005 r. – podczas sparingów pokazał, na co go stać: dosłownie rozłożył swoich kolegów na łopatki. Jego idolem jest Félix Savón. To plakat z jego podobizną zdobią ściany domu boksera a on sam ma nadzieję, że zupełnie jak Savón – niejednokrotnie zdobędzie kiedyś medal na igrzyskach olimpijskich. Na gazecie wisi też zdjęcie Héctora Vinenta, obecnego menedżera i trenera w szkole Trejo, dwukrotnego złotego medalisty w Atlancie (1996 r.) i Barcelonie (1992 r.).

Sprzęt, z którego korzystają chłopcy w gimnazjum, lata swojej świetności ma dawno za sobą. Placówka nie ma funduszy na nowy, brakuje nawet gongu, zastępowanego przez zwyczajny gwizdek. Młodym adeptom pięściarskiej sztuki to jednak wcale nie przeszkadza. Przychodzą często, nawet trzy razy dziennie, by pod okiem zaufanego instruktora szlifować swoje umiejętności. Ich głównym celem jest La Finca, słynny klub, z którego pochodzą najwięksi – to tam trenowali Savón i Stevenson.

Niektórzy twierdzą, że kubański boks się zmieni, że Raúl Castro, brat Fidela i jego sukcesor, jest bardziej



R E K L A M A

liberalny – już zezwolił sportowcom na podpisywanie profesjonalnych kontraktów i udzielił kobietom prawa boksowania. Po ponad sześciu dekadach odnowiły się relacje Stanów Zjednoczonych i Kuby, a w obu krajach otwarto placówki dyplomatyczne.

Idea kubańskiego boksu dotychczas opierała się na totalnej izolacji, spartańskich warunkach i absolutnej koncentracji na sporcie jako służbie rewolucji. Jemu był podporządkowany cykl dnia: treningi, dieta, otoczenie, sen. Istnieje ryzyko, że gdy sportowcy spróbują łatwiejszego życia, zmienią zupełnie podejście. Czy rozluźnienie sportowej polityki rzeczywiście osłabi kubańską reprezentację – czas pokaże. Jednak miłośnicy boksów już zacierają ręce na myśl, że będą mogli znacznie częściej niż dotychczas podziwiać pięściarzy z tej wy-
py jak wulkan gorącej. ○



Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into The Tribes”. Mieszka w Paryżu.



MOJE ŻYCIE GDZIE INDZIEJ



Podróżowanie jest jak telenowela. W obu przypadkach na kilka chwil przestajemy żyć własnym życiem i zamieniamy je na lepsze.

Co mają wspólnego: wędrowka z plecakiem i tkwienie przed telewizorem z paczką chipsów? Jedno i drugie to przyjemna przerwa we własnym, nie zawsze satysfakcjonującym życiu. Gdy leżymy na kanapie i śledzimy pasjonujące losy atrakcyjnych bohaterów, doświadczamy podobnych emocji, co na aktywnym urlopie. Mechanizm jest zbliżony: na krótki czas zmieniamy nudne dekoracje szarej codzienności i przenosimy się w inny, bardziej interesujący świat. Z tym że w podróży to my sami gramy główne role.

Na każdym wyjeździe bawię się w spektakl pt. „Moje życie gdzie indziej”. Miejsce, które mi się podoba, natychmiast uruchamia moją wyobraźnię: zastanawiam się, czy nie mogłabym tam zamieszkać

na stałe. Jeśli się zastanowić, nie jest to przecież aż takie nierealne. W dzisiejszych czasach ludzie co chwila rzucają wszystko i urządzają życiowe rewolucje. Zostawiają nudnawe posadki, mieszkania z brzydkim widokiem oraz tyjących partnerów, by ruszyć w ciekawszym kierunku. Nawet jeśli nie teraz, mogłabym przecież rozważyć przeprowadzkę na emeryturze. Nadejdzie, zanim się obejrzę, lepiej więc wszystko przemyśleć zawczasu.

Zacznę ostrożnie i zamiast generalnego przemeblowania spróbuję wprowadzić drobne odświeżenie. Skoro teraz mieszkam w dużym mieście i nawykłam do jego dobrodziejstw, może wystarczy zamienić je na ładniejsze? Taki na przykład Paryż – też stolica, ale bez porównania bardziej szykowna i romantyczna.

Albo dynamiczna, nadmorska Barcelona. Tak, morze to dobry trop – i ładny widok, i czyste powietrze, i plaża w zasięgu ręki. Z drugiej strony płaskie jak stół Mazowsze aż się prosi o krajobrazową odmianę. Może więc Alpy albo Dolomity? Sensownym kompromisem wydaje się Chorwacja – tu góry leżą nad morzem. A może jednak Norwegia? Kombinacja ta sama, za to w lecie nie ma upałów. Gdyby tylko nie było tak drogo... Tutaj z kolei nasuwają się Azja, tylko trochę do niej daleko.

Roztrząsanie możliwości geograficznych przeplata się z gdybaniem architektonicznym. W podróży nałogowo podglądam, jak mieszkają inni. Dyskretnie wystawiam głowę ponad ogrodzenia, zapuszczam żurawia do ogrodów i bez pardonowo zerkam przez uchylone okna.

Jako ofiara modnych ostatnio programów o kupowaniu domów za granicą, w których agent nieruchomości prezentuje klientom letnie rezydencje, udaję, że sama stoję przed takim wyborem. Wybrzydzam i kręcę nosem, analizuję walory najpiękniejszych adresów. Kusząco wygląda południowoafrykański dom nad

samym oceanem. Ale a nuż lepsza będzie posiadłość na Maderze, bardziej w głębi łądu, za to na wzgórzu z olśniewającym widokiem na wybrzeże? Toskańska willa w cyprysowym zagajniku walczy na punkty z hiszpańską farmą cytrusów, a zameczek w Burgundii ze skandynawską szopką nad fiordem. A może nie upierać się przy pomysłach murów i wybrać saharyjski namiot albo balijską chatkę z bambusa?

Przeгляд dostępnych scenografii każe się zastanowić nad akcją, która będzie się w nich rozgrywać. Nie po to się człowiek przeprowadza do rajów, żeby bezmyślnie ciągnąć życiową prozę. Nie mówię, żeby od razu rzucać pracę. Ale z pewnością odpada nudne siedzenie w biurze, chyba że takim z widokiem na plażę. Mogę się zgodzić na prowadzenie małej winnicy albo uprawę oliwek. Nieźle brzmi też własny bar z owocami morza, ewentualnie nastrojowa cukierka w jakimś uroczym miasteczku. W grę wchodzi tylko zajęcia przyjemne, twórcze i ładne. Oraz niezbyt obciążające. W każdym szanującym się serialu bohaterowie zajmują się przecież głównie życiem po pracy. I właśnie rozrywki po godzinach potrafię zwiualizować najwyraźniej.

Sącząc wakacyjnego drinka z palemką, przeczuwam, że można tak na co dzień. Niezbicie dowodzą tego bohaterowie eskapistycznych powieści, którzy wiodą szczęśliwy żywot pod nigdy niegasnącym słońcem Toskanii, Prowansji, Majorki i innych arkadyjskich krain. Też bym tak mogła. Rankiem wyciągałabym rower z koszykiem i jechała z łopoczącą na wietrze spódnicą na targ po świeże owoce. Popołudniami wsiadałabym na skuter, który wiózłby mnie wzdłuż wybrzeża owiewanego morską bryzą. Widzę siebie surfującą na hawajskich falach (to nic, że nie umiem, zdążę się nauczyć), wiszącą w hamaku rozpiętym bezpośrednio nad wodą łazurowej laguny albo smażącą marمولadę z własnych pomarańczy. Nie szkodzi, że w Polsce marna ze mnie kucharka i ogrodniczka. Mój uśpiony talent po prostu czeka na odpowiednie okoliczności.

W tych właśnie okolicznościach nie tylko piękniej bym mieszkała i przyjemniej żyła, ale byłabym też lepszą wersją samej siebie. Zdrowszą, smuklejszą i bardziej czytana dzięki lekturom, na które miałabym czas zaoszczędzony na warszawskich korkach. Stałabym się bardziej eko, bardziej slow, a do tego fit. Na pewno tak

właśnie by było. Wystarczy otworzyć atlas i podjąć decyzję.

Mnogość wyboru przytłacza. Bądź co bądź decyzja o przeprowadzce pociąga za sobą poważne konsekwencje. Na szczęście urlop to jazda próbna bez zobowiązań. Można tak testować latami, aż trafimy w dziesiątkę i z turysty zapagniemy stać się rezydentem. Jest też inny scenariusz. Istnieje szansa, że przy bliższym spojrzeniu miejsca marzeń stracą trochę blasku. Winnica jest dobra, żeby wysączyć w niej kieliszek schłodzonego rieslinga, jednak perspektywa obrzucania uprawy nawozem nie jest już tak kusząca. Panorama z domu na wzgórzu może zachwycać, ale codzienna wspinaczka z zakupami na

grzbiecie odbije się prędzej czy później czkawką. Kojące odosobnienie to często synonim kompletnego odludzia. A słońce cieszy jakoś mniej, gdy czasem nie przeplata go deszcz. Można spróbować się asekurować i zamiast kupna domu za granicą zdecydować się na wynajem. Można też zostać w Polsce. I za rok znów pojechać na wakacje. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

ENDURO MTB SERIES

on sight

Akademicki Puchar Polski

cztery

i dobra zabawa

SPONSORZY

SUUNTO VARTA ENDURA bluepill OSHEE DARE 2B FLOW NIKWAX crankbrothers

HELMO Julbo deuter ETI KORDAS TSG MAXXIS TIREZALO TENT JURAJSKA

ARSHOT Agpol SIXPACK-RACING LUYE STUDIO

TVP3 CZWÓRKA LOGO bike MIELECENIE MR 43 RIDE freestyle BIKEWORLD.PL dkey dzone.com mts VELOPROFIT

R E K L A M A

Katarzyna Rojek

IM DALEJ W MIASTO, TYM WIĘCEJ DRZEW

Spływ zaczynamy w centrum Starego Miasta, u podnóża zamku. Pierwszy raz płyniemy kajakiem. Obraca nas tyłem do przodu i z powrotem, ale szybko łapiemy rytm. Tylko gdzie się podziało miasto? Wokół nas tylko malownicza dzicz. Magia? Nie, to czar Olsztyna.





POLSKA

2,5 km

Ukiel

Olsztyn

Kortowo

Bartąg



FOT. WOLCZKAROW

RELIKTY ROZWOJU

Tartak Raphaelsohnów, jedyna pozostałość po dzielnicy przemysłowej. Dziś mieści Centrum Techniki i Rozwoju Regionu ze zdobyczami cywilizacyjnymi z XIX i XX w.

Bardzo lubimy aktywny wypoczynek na świeżym powietrzu. Ale cenimy też wygody miasta – bliskość sklepów, knajpek i różne rozrywki. Nie wiele jest miejsc, gdzie można cieszyć się tym wszystkim naraz. Olsztyn nadaje się do tego idealnie, a ponadto – co ważne dla nas, mieszkańców – niemiłosiernie zatłoczonego w sezonie Trójmiasta – można to robić, delektując się ciszą i spokojem.

PŁYNIE ŁYNA PRZEZ ŚRODEK OLSZTYNA

Zatrzymaliśmy się w hotelu HP Park w Kortowie. Na początku wydawało się, że nie jest to najlepsze miejsce – na uboczu, z dala od centrum. Jednak bardzo szybko doceniliśmy zalety

tej lokalizacji (oraz przemiłą obsługę hotelu). Wokół łąki, lasy, jeziora, a na Stare Miasto samochodem niecałe 15 minut. Nieopodal, przy moście w Bartągu, zaczyna się trasa spływu rzeką Łyną. Na tym odcinku mija się łąki przypominające sawannę, a następnie dociera do obszarów zurbanizowanych. Przepłynięcie całej trasy zajmuje ok. 3,5 godziny. My, jako początkujący, woleliśmy wariant skrócony, i do kajaka wsiedliśmy pod zamkiem.

Łyna to najdłuższa rzeka Warmii i Mazur, jest częścią międzynarodowej trasy kajakowej, a w Olsztynie płynie niemalże samym środkiem miasta. Oferuje bardzo zróżnicowane krajobrazy, a jedyne, co się nie zmienia, to nieustający zachwyt kajakarzy nad pięknem przyrody i panującą wokół ciszą. Po drodze mijaliśmy jedynie ptaki wodne.

Na początku płynęliśmy wraz z Łyną dość wartko, pokonaliśmy nawet kilka łagodnych bystrzy. Potem rzeka uspokoiła się i poszerzyła, pozwoliła na odpoczynek i podziwianie otaczających ją majestatycznych drzew. Następnie wpadliśmy w labirynt krzaków i szuwarów, który skończył się malowniczym rozlewiskiem, pełnym grązeli. Tu nie było łatwo wiosłować – utrudniały to łodygi i sama świadomość, że można zniszczyć te piękne kwiaty.

Nasz spływ skończyliśmy przy tamie elektrowni wodnej, w miejscu, gdzie Łyna łączy się z rzeką Wadąg. Zaprawieni kajakarze mogą płynąć dalej, na Wadągu czekają ich bystrza i przenoski. Nam na początek wystarczyły te cztery kilometry i ponad godzina wysiłku przy wiosłach. Zwłaszcza że nie był to dla nas koniec atrakcji na ten dzień.

CENTRAL PARK

Spływ Łyną można zacząć w Parku Centralnym.



FOT. MARGEN WERUL



FOT. WOJCIECH KRÓM

OKRĄŻYĆ KRZYWE

Wszyscy zapewne znają slogan „Mazury – kraina tysiąca jezior”. Ile ich jest w samym Olsztynie? Są różne wersje – jedni twierdzą, że 11, drudzy, że 16, jeszcze inni naliczyli więcej. Nikt nie ma natomiast wątpliwości co do tego, że największym z nich jest Ukiel, zwane także Krzywem. To był nasz następny przystanek.

Choć może „przystanek” nie jest tu właściwym słowem. Owszem, mieliśmy chwilę na lunch (bardzo smaczny, ale jednego nie potrafię zrozumieć – dlaczego w krainie tysiąca jezior jako danie popisowe serwowano nam prawie za każdym razem... morskiego dorsza?), zatrzymaliśmy się też przy Centrum Rekreacyjno-Sportowym Ukiel. To główna miejska przystań żeglarska. Szkolą się tu sportowcy, w tym mistrzowie świata i Europy w żeglarskim lodowym. W skład nowoczesnej infrastruktury wchodzi: promenada spacerowa, ścieżki piesze i rowerowe, boiska, kąpieliska, wypożyczalnia sprzętu, place zabaw, kawiarnie, restauracje, tarasy, pomosty, a nawet boisko do siatkówki plażowej z podgrzewanym piaskiem. No, ale dość tego stania. Czas na rowery.

Trasa wokół jeziora jest zróżnicowana i malownicza. By okrążyć Ukiel, trzeba się napedałować przez ok. 24 km. Są strome podjazdy i zjazdy. Czasem szuter, czasem piach, czasem elegancka ścieżka rowerowa.



FOT. WOJCIECH KRÓM

Nie można się nudzić, za to przy szybkim tempie na pewno można się zmachać. I potwierdzić empirycznie, że to Ukiel faktycznie jest jakieś Krzywe.

Dla odpoczynku – rejs po jeziorze, najlepiej ekologicznym stateczkiem, w słońcu i z wykorzystaniem energii słonecznej. Można w ten sposób naładować baterie. Jezioro składa się z czterech pól (basenów jeziornych) połączonych wąwozami. Na brzegach znajdują się ośrodki wypoczynkowe, przystanie żeglarskie, kajakowe i miejska plaża. Tak zregenerowani czekamy na finalną atrakcję tego dnia, czyli degustację regionalnych, rzemieślniczych piw, zorganizowaną w naszym hotelu.

DŁUGIE I KRZYWE

Na górnym zdjęciu – Jezioro Długie w zachodniej części miasta. Na dole – Ukiel, zwane również Krzywem, największe w Olsztynie.

O!GRÓD Z NATURY

Takim hasłem promuje się z Olsztyn.
Z góry najlepiej widać, jak zielone
jest miasto.



FOT. MARCIN WERUL

Z PRZEWODNIKIEM KOPERNIKIEM

Następnego dnia, żeby rozruszać zakwasy, idziemy na zwiedzanie miasta. Szybkim krokiem oprowadza nas po nim Marian Jurak. Kiedy pan Marian zdradza nam, że jest przewodnikiem od ponad 40 lat, nie możemy wyjść ze zdumienia, formy i kondycji można mu szczerze pozazdrościć. Jest też coś znajomego

w jego wyglądzie – ta fryzura, ten profil... Sam nie każe nam się długo zastanawiać i przyznaje, że wystarczy odpowiednia szata, by wcielił się w sobowtóra... Mikołaja Kopernika.

To postać dla Olsztyna bardzo ważna (Kopernik, choć pan Marian zapewne też). Można nawet zwiedzać miasto jego śladami. My jednak zaczynamy od ratusza i staramy się nadążyć za przewodnikiem, który już wbiega na wieżę budynku powstałego na początku XX w. Stąd widać wyraźnie, że zieleń otacza Olsztyn z każdej strony, możemy podziwiać z góry m.in. największy las miejski w Europie.

Następny punkt wycieczki to gotycki zamek kapituły warmińskiej z II połowy XIV w. Tu mieszkał wielki astronom, a dziś mieści się siedziba Muzeum Warmii i Mazur. Najciekawszą pamiątką po Koperniku jest tablica astronomiczna – jedyny jego instrument, który zachował się do naszych czasów. Powstała na przełomie 1516/17 r. i została wyrysowana na ścianie zamkowego krużganku. Umożliwiała graficzne określenie momentu równonocy wiosennej, co z kolei pozwalało na ustalenie dat ruchomych świąt i prowadzenie badań nad reformą kalendarza.

WSTRZYMAŁ SŁOŃCE, RUSZYŁ ZIEMIĘ

Ławeczka Mikołaja
Kopernika na
Starym Mieście.



FOT. MARCIN WERUL

Kopernik przybył do Olsztyna w 1516 r. i objął na trzyletnią kadencję (przedłużoną na lata 1520–1521) stanowisko kanonika-administratora dóbr kapituły warmińskiej. Osadzał chłopów na opuszczonych ziemiach, podczas wielu podróży po Warmii zasiedlił ponad 40 wsi. W styczniu 1521 r. odparł krzyżacki atak na mury miasta. W zamkowym parku stoi ponadstuletni pomnik astronoma z napisem: „Obrońcy grodu olsztyńskiego przed najeźdźcą krzyżackim. Wielkiemu Polakowi Mikołajowi Kopernikowi – wdzięczni rodacy”.

Czas nagli, więc biegniemy jeszcze rzucić okiem na uroczy Rynek, przy którym znajduje się Stary Ratusz, a potem pędzimy przez Park Centralny (z nazwy – wielkomiński, w rzeczywistości – bardziej sielski) do Centrum Techniki i Rozwoju Regionu. Mieści się ono w pięknym zabytkowym tartaku Raphaelsohnów, jedynym zachowanym relikwie niegdyśszej dzielnicy przemysłowej miasta, zbudowanym w ok. 1884 r. Można tu oglądać



BABA NA ZAMKU
Posągi bab pruskich pochodzą prawdopodobnie ze średniowiecza. Znajdowano je na terenach zamieszkiwanych przez plemiona pruskie. Ta stoi na dziedzińcu Zamku Kapituły Warmińskiej.

FOT. MARCIN KERUL

www.poznaj-swiat.pl

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**



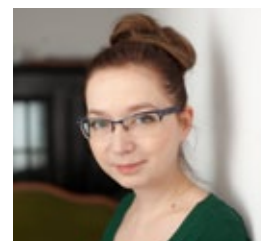
Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata. Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.

R E K L A M A

zdobycze techniczne i cywilizacyjne Warmii i Mazur z XIX w. i pierwszej połowy XX w. Można też strzelić sobie fotkę w stylu retro, z zabytkowym Olsztynem w tle.

Dobiega końca nasz krótki, ale intensywny pobyt. Zostawiamy niezdojane lasy i jeziora. Chcielibyśmy jeszcze zobaczyć Olsztyńskie Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne (ciekawostka: znajduje się tu grunt księżycowy przywieziony w 1969 r. przez załogę Apollo 11 – jedyny taki eksponat w Polsce!), dom oczyszczeń projektu słynnego Ericha Mendelsohna, i po prostu pospacerować spokojnie po Starym Mieście. Odwiedzić kilka knajpek, skosztować lokalnej kuchni. Słyszałam też o sympatycznym lokalnym browarze... Na pewno jeszcze będzie okazja! ○



Katarzyna Rojek

Nasza redaktor naczelna. Uzależniona od czytania i podróży. Interesuje się kulinariami, lubi dobre serie, ale jej prawdziwą pasją są koty.



KRAINA DOBRYCH LUDZI

Jerzy Nowiński



Obserwuję krajobraz za oknem – wioska z trzciniowych chatek, zagubione między palmami groby, sklepik, znowu szafasy i... statek?! Nagle „normalny” Mozambik zmienił się w coś niezwykłego. Zamiast pustych plaż i poletek – molo, rdzewiejące kutry i urocze posiadłości. Gdy dotarło do mnie, że za chwilę stąd wyjedziemy, rzuciłem się po aparat. Za późno! Zostało mi poruszone zdjęcie i uczucie niedosytu. Co to było za miejsce?

ATRAKCYJNY MAGAZYN

Magazyny otoczone parkową zielenią są kolonialną pamiątką dawnej świetności Inhambane, a przy tym jedną z głównych atrakcji miasta.

Myślę, że podobne wrażenia z Mozambiku ma większość turystów. Wszyscy śpieszą oglądać rekiny wielorybie na Tofo lub pływać po archipelagu Bazaruto. Inhambane pozostaje dla nich tylko krótką migawką z podróży. Nie tym razem! Nie zamierzałem zignorować tej perełki, zwłaszcza że referencje

wystawił jej światowej sławy podróżnik Vasco da Gama i to właśnie on określił ją jako Terra de Boa Gente – Krainę Dobrych Ludzi.

MAŁA PORTUGALIA

Szczęśliwie nie musiałem długo czekać na szansę powrotu w te strony. Drobnym zbieg



FOT. JACEK NOWIŃSKI

okoliczności, chwila rozmowy i już następnego dnia siedziałem w fotelu turystycznej ciężarówki, która miała mnie zabrać na rogatki miasta. Z zamyślenia wyrwało mnie niespodziewane hamowanie: – *To tutaj!* Niby co jest „tutaj”? Dlaczego zatrzymaliśmy się na skraju dzikiego wysypiska śmieci? – *Jeśli chcesz zwiedzać Inhambane, możesz wysiadać.* – Wzrok kierowcy nie pozostawia żadnych wątpliwości, że to mój przystanek – *Eee... dziękuję i do widzenia* – rzucam w kierunku zamykających się drzwi i razem z plecakiem ląduję na rozgrzanym asfalcie.

Miejsce, w którym się znalazłem, nie jest przypadkowe. Góra śmieci wyznacza granicę pomiędzy ostatnim polem uprawnym a ciągłą zabudową, która na pierwszy rzut oka składa się wyłącznie z blaszanych baraków. Stąd wystarczy przejść tylko kilka kroków, żeby wejść w życie 67-tysięcznej społeczności Inhambane. Malutkie warsztaty, w których wymienia się opony, trzcinowe kramiki wypełnione po brzegi chińszczyzną, sklepy zbudowane z blachy falistej – wszystko tętni życiem i pozytywną energią.

Na ulicy nie widzę typowej dla Afryki apatii, każdy coś robi, gdzieś idzie. Ubrana w kolorową spódnicę pani niesie na głowie drewno na opał, ludzie robią zakupy, sprzedają towary, a obok przetacza się rozklekotany pick-up pomocy drogowej. Zaskakuje też grupka lokalnych murarzy, którzy w jednym z najbiedniejszych rejonów świata są ubrani w odblaskowe kamizelki i niebieskie kaski – zgodnie ze światowymi standardami BHP.

Robię kilka zdjęć, uśmiecham się do malca, który siedzi na krawężniku, przechodzę przez skrzyżowanie i trafiam do... małej europejskiej miejscowości?! Brzmi to zaskakująco, ale naprawdę trudno inaczej opisać ten przeskok. W jednej chwili uciął otaczający mnie harmider, znikła wszechobecna blacha falista, a przed oczami stanęła mi portugalska dzielnica willowa. Dopiero po chwili zaczynam dostrzegać pewne niuanse:

odpadająca miejscami farba, rosnące dziko drzewa, opuszczona parowozownia Caminhos de Ferro de Moçambique, przed którą wystawiono rdzewiejącą lokomotywę numer 572.

Trafiłem na niepisaną granicę oddzielającą dwa światy – afrykański od europejskiego, bogatych kolonistów od biednej ludności lokalnej. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak 42 lata temu, po tym jak Mozambik odzyskał niepodległość i nowe władze wydały rozkaz 24/20. 24 godziny na spakowanie

BLACHA, FURA I KOMÓRA
Kramiki z blachy falistej, rozklekotane samochody i logo operatora sieci komórkowej Vodacom można tu spotkać na każdym kroku.





FOT. JERZY NOWIŃSKI



FOT. JERZY NOWIŃSKI

BIEDNIE, LECZ SCHLUDNIE

To jeden z najbiedniejszych rejonów świata, ale dzieci chodzą do szkoły ubrane w schludne mundurki, a robotnicy mają kamizelki odblaskowe i kaski, zgodnie ze standardami BHP. I wszyscy się uśmiechają.

najwyżej 20 kg swojego dobytku – dokładnie tyle mogli zabrać biali, którzy żyli tu od blisko 250 lat. Wypędzeni, nazwani później *retornados*, bez środków do życia musieli jechać do Portugalii – obcego kraju, który miał się stać ich nową ojczyzną. Zostawili domy, ogrody i kutry rybackie, które bez opieki zaczęły rdzewieć na mieliźnie. Dziś są one wizytówką miasta, wspomnieniem tego, że w 1975 r. w Inhambane zatrzymał się czas.

Niegdyś trzecie co do wielkości miasto Mozambiku zapadło w sen i tylko gdzieś tam ktoś podmienił szyld sklepu na ministerialną tablicę. Szczęśliwym trafem te rejon

ominęła okrutna wojna domowa, która przez dwadzieścia lat targała Mozambikiem. Nie walczyły tu oddziały „żołnierzy wolności”, nikt nie zburzył kolonialnych wili, nie spalił zabytkowego kościoła.

Najbardziej charakterystyczni mieszkańcy Inhambane to uczniowie. Na każdym kroku jest ich pełno, a ponieważ w Mozambiku obowiązuje ścisły *dress code*, można łatwo oszacować wiek młodzieży. Jeśli dziecko jest ubrane w granatową sukienkę bądź spodnie – mamy do czynienia z uczniem podstawówki, natomiast brązowa tonacja jest zarezerwowana dla licealistów. Stąd też, nawet bez znajomości portugalskiego, wydedukowałem, że Escola primaria completa, która mieści się w pięknym kolonialnym budynku z 1958 r., to jedna z wielu szkół podstawowych Inhambane. Wystarczyło zerknąć na ubranych w niebieskie koszule drugoklasistów, którzy wysypali się z budynku.

Jeden z brzdąców zobaczył mnie i zasłonił się kartką A4 niczym tarczą, zza której rozpoznał jego kolega. W okolicy jest tyłu uczniów, że cała prowincja sprawia wrażenia wesołej i beztroskiej, jednak trudno o uśmiech, gdy patrzy się w lufę rewolweru. Również kilkanaście lat temu Mozambik był pełen dzieci – nieletnich żołnierzy, którzy siali postrach i śmierć. W czasie wojny domowej stanowili nawet jedną trzecią zbrodniczych oddziałów walczących o „wolność i sprawiedliwość”. Zamyślony, odwracam wzrok. Ci chłopcy są za mali, żeby pamiętać te czasy, a pistolet to tylko wyciągnięty palec.

PIELĘGNIARZ, POWSTANIEC, DYKTATOR

W Inhambane uwagę przykuwa bulwar, przy którym stoją najbardziej reprezentatywne budynki miasta. Mijam dawne magazyny handlowe, urzędy, szkoły, na niektórych wciąż można dostrzec przetarte napisy, wskazujące, że budowle powstały w dwudziestoleciu międzywojennym. Ze zdziwieniem zauważam, że władze zadbały o zagospodarowanie zieleni, drzewa są ładnie poprzycinane i pobielone, a śmieci uprzątnięte. W centrum miasta nie trudno zapomnieć, że znajduję się w jednym z najbiedniejszych miejsc na świecie. Uśmiechnięci



FOT. JERZY MOJŻYŚ

ludzie, względny porządek i leniwie płynący czas – wszystko tworzy śródziemnomorską atmosferę w afrykańskim wydaniu.

Historia Inhambane sięga blisko tysiąca lat, kiedy na tych terenach Arabowie zakładali faktorie. Bezpieczeństwo, jakie zapewnia półwysep, oraz dogodnie położenie do handlu z lokalnymi plemionami to niewątpliwe atuty tego miejsca, które w XVI w. dostrzegli również Portugalczycy. Handlowali na tych terenach kością słoniową, później niewolnikami i to właśnie oni ostatecznie przejęli kontrolę nad Inhambane.

Za początek trwałego osadnictwa przyjmuje się 1727 r., kiedy kapitan Castro Soares odkrył zakotwiczony w pobliżu konkurencyjny duński zagłowiec. Portugalczyk wziął sprawy w swoje ręce, wezwał posiłki z Sofalii i zaatakował... Duńczyków? Otóż nie. Uznał, że dużo łatwiej spacyfikować lokalną społeczność i tym samym zniechęcić ją do dalszych prób „nieautoryzowanych” kontaktów ze światem

zewnętrznym. Jako gwarancję swoich interesów Soares zbudował fort. Nie był on idealnym przykładem sztuki obronnej – co jeden z portugalskich oficerów skomentował słowami: „Duńczykom do zdobycia tych umocnień wystarczyłoby na nie spojrzeć” – jednak stanowił podstawę do dalszej rozbudowy Inhambane. W 1840 r. na miejscu drewnianego kościoła rozpoczęto budowę katedry i meczetu, a na początku XX w. powstał szereg pięknych kolonialnych willi i linia kolejowa wraz z parowozownią.

Na głównym placu Inhambane dumnie przeży się pomnik żołnierza ze wzniesioną dłońią. To uwieczniony w brązie marszałek Samora Machel – pielęgniarz, powstaniec, wreszcie dyktator, który w Mozambiku postanowił zaprowadzić komunizm. Trudno ocenić jego postać: z jednej strony odpowiada za śmierć dziesiątek tysięcy przeciwników politycznych, z drugiej – to właśnie on wywalczył dla kraju niepodległość. Jego druga żona,

PRZAŚNY, ALE WŁASNY
Europejczyka zachwyci portugalska katedra, jednak miejscowi uważają ją za stary, mały kościółek kolonizatorów. Dlatego naprzeciwko wybudowali własny, dość gągamelowaty, ale duży i nowy.



FOT. JERZY NOWINSKI

domowej w Mozambiku wspierał oddziały opozycji walczącej z rządem. Śledztwo prowadzone przez RPA wykazało winę pijanych pilotów, natomiast specjaliści z ZSRR i Mozambiku wskazywali, że samolot rozbił się w wyniku zamachu, do którego wykorzystano fałszywą radiolatarnię.

Smaczku historii dodają zarówno doniesienia, że na pokładzie samolotu miały znajdować się dokumenty rządów Mozambiku i Zimbabwе dotyczące planowanego zamachu stanu w Malawi, jak i późniejsze zeznania Hansa Louwa (byłego agenta południowoafrykańskich sił specjalnych), który w 2003 r. przyznał się do uczestnictwa w zamachu.

NA LEWO PATRZ

Nareszcie jest! Największa atrakcja turystyczna miasta, 180-letnia katedra Niepokalanego Poczęcia. Budynek jest prześliczny: jasne barwy, kolonialny styl, który razem z wysoką dzwonnica robią niesamowite wrażenie. Podobnie jak to, że kościół jest kompletnie opustoszały! Udało mi się wejść do środka (przez boczne drzwi) i widok wnętrza mną wstrząsnął. Dlaczego nikt się nim nie opiekował, czemu nie ma tu ławek, nawet

24/20

W 1975 r. biali mieli 24 godziny na opuszczenie kraju i mogli zabrać ze sobą najwyżej 20 kg dobytku. Pozostały po nich kutry rybackie, które teraz rdzewieją na mieliźnie przy molo.

Graça Simbine, jako jedyna kobieta w historii była pierwszą damą dwóch republik – Mozambiku oraz RPA (po tym jak wyszła za mąż za Nelsona Mandelę).

Najciekawsza jest jednak historia związana ze śmiercią Machel. Zginął w katastrofie tupolewa Tu-134, który rozbił się w 1986 r. na terytorium Republiki Południowej Afryki – kraju, który podczas wojny

6. KONFERENCJA SZKOLENIOWA DLA BRANŻY SPORTOWEJ I OUTDOOROWEJ

- CIEKAWY WYKŁADY
- PRAKTYCZNE WARSZTATY

- PONAD 200 UCZESTNIKÓW
- PRELEGENCI Z POLSKI I ZAGRANICĄ

FOT. KLAUS FENGLER



17-19. PAŹDZIERNIKA 2017
WIERCHOMLA SKI&SPA RESORT

GOŚĆ SPECJALNY
STEFAN GLOWACZ
JEDEN Z NAJLEPSZYCH
WSPINACZY ŚWIATA

ORGANIZATOR:



PARTNER STRATEGICZNY
I WSPIERAJĄCY:



PARTNERZY:



PARTNERZY MEDIALNI:



PROGRAM I ZGŁOSZENIA WWW.ISPOACADEMY.PL

ISPO.COM

ISPO ACADEMY

R E K L A M A

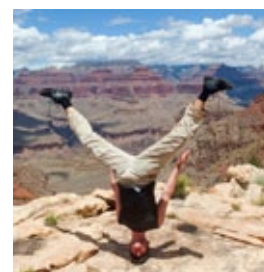
prostego, drewnianego ołtarza? Odpowiedź na to pytanie jest zaskakująca i wiąże się z lokalnym poczuciem wartości. Okazuje się, że inhambijczycy po drugiej stronie ulicy wybudowali nową świątynię. Moim zdaniem jest symbolem lekkiego bezguścia, jednak dla autochtonów stanowi świadectwo wolności i bogactwa, które w założeniu miało przyćmić dużo mniejszy „kościółek” dawnych kolonialistów.

– *Przepraszam, czy mogę sfotografować molo?*
– *Tak...* – Zaskoczony policjant chyba nie spodziewał się białego przybysza. – *Ale wyłącznie to, co znajduje się po jego lewej stronie.*

Spoglądam przed siebie i próbuję ocenić obie strony widoku przede mną. Na jednej jest pięć, sześć... dziewięć statków, na drugiej podobnie. Również populacja brodzących w niskiej wodzie flamingów wydaje się zbliżona. Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie dostrzec żadnej różnicy i zakaz wydaje się lekko absurdalny, ale cóż, należy szanować lokalne obyczaje. – *Oczywiście, będę fotografował tylko lewą stronę pomostu. Dziękuję i do widzenia* – odpowiadam i zdecydowanym krokiem wkraczam na molo, zanim przedstawiciel mozambickiej władzy wpadnie na pomysł wyłudzenia ode mnie łapówki.

Główna przystań pływających do Maxixe łodzi jest najbardziej zatłoczonym punktem miasta. Mijają mnie dziesiątki podróżujących Afrykańczyków – jakiś chłopak zarzucił mały plecak na ramię, ktoś idzie z torbą na handel, ktoś inny niesie na plecach przenośny sklepik, a przy samym końcu molo kilku rybaków łowi ryby na żyłkę.

Rozglądam się (oczywiście tylko po lewej stronie) i dochodzę do wniosku, że to najlepsze miejsce do zakończenia mojego spaceru. Sylwetki kutrów, które już od 50 lat rdzewieją, porzucone na mieliźnie, kroczące dumnie flamingi, kilkanaście *dau* – małych łodzi arabskich o trójkątnych żaglach. Wszystko razem skąpane w ciepłych promieniach afrykańskiego słońca. Ciężko będzie się rozstać z Inhambane, małym miasteczkiem, na którego ulicach jest wypisana cała historia Mozambiku. ○



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. W trakcie podróży szuka przygód i miejsc, które pozwalają lepiej poznać i zrozumieć świat. Obecnie pracuje nad książką o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



ŻYWA HISTORIA PODKARPACIA



49°44'N 21°26'E / 49°37'N 21°42'E

Karpacza Troja znajduje się w Trzcinicy, kilka kilometrów od Jasta. Bóbrka leży w podkrośnieńskiej gminie Chorkówka.

Karpacza Troja to połączenie tradycyjnego skansenu z nowoczesną placówką muzealną. Miejsce przenosi nas o ponad 3500 lat wstecz! Jan Gancarski, pomysłodawca budowy skansenu, wybitny archeolog, a na co dzień dyrektor Muzeum Podkarpackiego w Krośnie, dokonał fenomenalnych odkryć archeologicznych, które trwały od 1991 r. Skansen w Trzcinicy obejmuje teren o powierzchni 8 ha, w skład którego wchodzi park archeologiczny i grodzisko. W parku dokonano rekonstrukcji dwóch wiosek: ludności kultury Otomani-Füzesabony z początku epoki brązu, czyli sprzed 3500 lat, i słowiańskiej z IX i X stulecia. W trakcie prac archeologicznych odkryto ponad 160 tys. zabytków, na które składają się naczynia, wyroby z ceramiki, krzemienia i kamienia, kości i rogu, a także brązu i żelaza. Wiele z nich jest zabytkami unikatowymi.

Bóbrka przyciąga turystów z całego świata. Dzieje się tak za sprawą Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza, które jest unikatowe w skali Europy. Działa od 1961 r. i powstało na terenie najstarszej kopalni ropy naftowej, która wciąż funkcjonuje. Kopalnia została założona przez Łukasiewicza w 1854 r. i to właśnie

tam po raz pierwszy zaczęto wydobywać ropę naftową na skalę przemysłową. Jak dotąd nie znaleziono żadnych dokumentów, które potwierdziłyby istnienie jakiegokolwiek podobnego ośrodka w Europie i na świecie. Muzeum zajmuje powierzchnię 20 ha. Placówka jest podzielona na trzy sektory: przemysłu naftowego, rafineryjny oraz gazowniczy. Najcenniejszymi eksponatami są jedyne w swoim rodzaju kopanki ropne Franek i Janina, które są nadal czynne, a pochodzą z XIX w. i zostały stworzone właśnie za czasów Łukasiewicza. Do ważnych zbiorów muzealnych należy także obelisk ufundowany w 1872 r. przez słynnego naukowca.

Bardzo ciekawy jest też zabytkowy budynek, zwany domem Łukasiewicza. To obiekt administracyjny, w którym mieściła się kancelaria. Obecnie znajdują się tam sale ekspozycyjne, które upamiętniają życie i dorobek wielkiego Polaka.

Koniecznym jest odwiedzić pobliskie Muzeum Podkarpackie w Krośnie. Do jego najciekawszych eksponatów należą: kafel z pierwszym herbem Krosna, fortepian wyprodukowany w 1862 r. w paryskiej manufakturze rodziny Pleyelów (ulubiona marka Fryderyka Chopina). To jedyny w Polsce sprawny fortepian koncertowy tej klasy.




PODZIEMNE KRAINY ZAKŁĘTE W SKALACH I LODZIE POTRAFIĄ BYĆ WYJĄTKOWO FASCYNUJĄCE. POZNAJCIE NAJPIĘKNIJSZE GROTY I JASKINIE STAREGO KONTYNENTU WEDŁUG WIRTUALNEJ POLSKI!

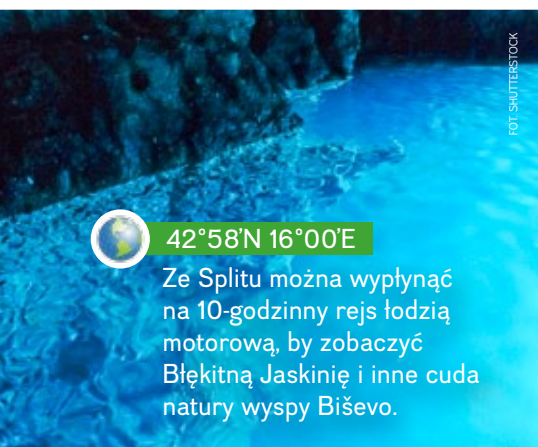
Hiszpania Cueva de los Verdes

Cueva de los Verdes przez wielu jest uznawana za najpiękniejszą jaskinię w Hiszpanii – znajduje się na Lanzarote, jednej z Wysp Kanaryjskich. Powstała ok. 3 do 4,5 tys. lat temu po gwałtownej erupcji wulkanu Monte Corona. Turystom miejsce zostało udostępnione w latach 60. Na terenie podziemnego kompleksu znajduje się też naturalna hala,

mieszcząca 300 osób, w której odbywają się czasem koncerty. Akustyka jest tu perfekcyjna, co osobiście sprawdzał redaktor turystyka.wp.pl.

 29°09'N 13°26'W

Do Cueva de los Verdes kursują busy z lotniska Lanzarote.



 42°58'N 16°00'E

Ze Splitu można wypłynąć na 10-godzinny rejs łodzią motorową, by zobaczyć Błękitną Jaskinię i inne cuda natury wyspy Biševo.

Chorwacja Błękitna Jaskinia

Biševo to niewielka wyspa na Morzu Adriatyckim, która kryje jedną z największych atrakcji Chorwacji – Błękitną Jaskinię. Wizytę w niej należy zaplanować mniej więcej na godzinę 10–11. Wtedy rozpoczyna się tutaj niezwykle spektakl. Słońce wpada przez niewielki otwór wejściowy, jego promienie odbijają się od dna, przechodzą przez błękitną wodę i oświetlają wnętrze lazuruwą barwą. W jaskini można zostać dłużej i wykąpać się w świetlistej poświacie.

Islandia Lodowe jaskinie Vatnajökull

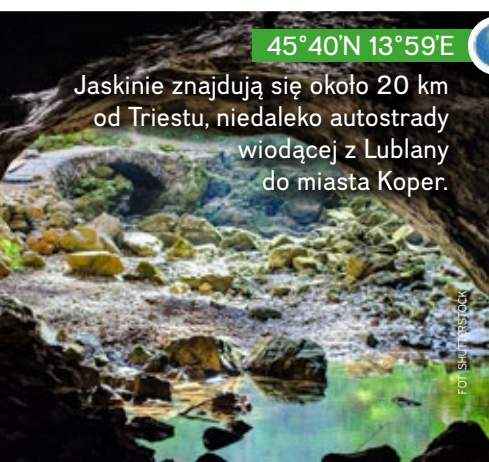


FOT. SHUTTERSTOCK

Słowenia Jaskinie Szkocjańskie

Jaskinie Szkocjańskie należą do największych cudów natury w Słowenii. Charakteryzują się oryginalnymi formami naciekowymi oraz przepięknym kaniem rzeki Reki. Wyjątkowe miejsce znalazło się na liście światowego dziedzictwa

UNESCO. Łączna długość jaskiń to około 6 km, z czego mniej więcej połowa została udostępniona turystom. Największe wrażenie robi wysokość – gdy patrzymy w górę, komory i korytarze zdają się nie mieć końca.




45°40'N 13°59'E

Jaskinie znajdują się około 20 km od Triestu, niedaleko autostrady wiodącej z Lublany do miasta Koper.



FOT. SHUTTERSTOCK

 64°25'N 16°47'W

Park Vatnajökull znajduje się 330 km od stolicy Reykjavíku.

Szkocja Grota Fingala


Na szkockiej wyspie Staffa znajduje się kilka jaskiń, jednak największą atrakcją jest Grota Fingala. Została ona odkryta przez Josepha Banksa w 1772 r. Łukowate sklepienie daje wrażenie naturalnej katedry, a echo fal morskich, które można w niej usłyszeć, było prawdopodobnie powodem nadania jej gaelickiej nazwy „groty melodii”. Przez lata do jaskini wpływały statki, obecnie można się tu dostać tylko pieszo po ściśle wyznaczonej ścieżce.

 56°26'N 06°20'W

Na Hebrydy latają samoloty i kursują promy z kilku szkockich miast.



Rumunia Scărișoara

 46°29'N 22°48'E

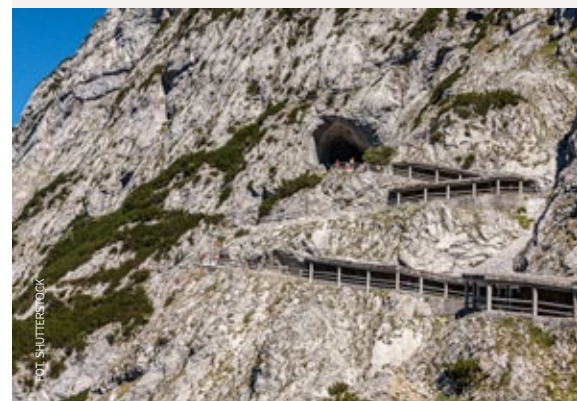
Jaskinia leży w odległości 40 km od Câmpeni, miasta w okręgu Alba.




Jedną z największych lodowych jaskiń w Rumunii, Scărișoara, znajduje się w łańcuchu Gór Zachodniorumuńskich, stanowiącym część Karpat. Atrakcja ma łącznie 750 m długości, jednak turystom udostępniono jedynie jej część. Najciekawszy fragment stanowi Katedra – pomieszczenie, w którym znajduje się aż 100 lodowych stalagmitów.

Austria Eisriesenwelt

Eisriesenwelt, czyli dosłownie Świat Lodowych Olbrzymów, to jedna z ciekawszych atrakcji Alp Salzburskich. Można tu zobaczyć największą na świecie naturalną formację złożoną z wielu jaskiń, rozciągających się na długości ponad 40 km. Przez okrągły rok są one wypełnione lodem. Temperatura nigdy nie sięga tu więcej niż 0°C.



 47°30'N 13°11'E

Wejście do jaskiń znajduje się w pobliżu miasta Werfen, na wysokości 1641 m n.p.m.

PRAWIE MOST

Tę konstrukcję w Murgabie zbudowali, według własnego pomysłu i możliwości, sami mieszkańcy. Spina brzegi rzeki Murgab, na której jest też elektrownia wodna zaopatrująca miasto w prąd. Bardzo często go jednak brakuje, zwłaszcza zimą, gdy poziom wody jest najniższy.



NAJWAŻNIEJSZA JEST TEŚCIOWA

Renata Matusiak



Jadę marszrutką kilka kilometrów za Chodzent, którego historia sięga V w. p.n.e., i alejką spacerową wychodzę na wzgórze Arbob. Staję twarzą na południe, przed sobą mam widok na otoczone górami miasto w dolinie Syr-darii. Za plecami natomiast ogromny pałac, tyle że z lat 50. Znajduje się w nim 100 pokoi, a wszystkie zrobione rękoma 300 mieszkańców okolicznych wiosek, których dzienna zapłata wynosiła półtora kilograma pszenicy.



Z porównania cen i zarobków wychodzi, że ludzie mają tu niezwykłą zdolność do przeżycia za niewiele albo za nic. Zatrzymany na stopa Muhsin, dyrektor rozlewni napojów, tłumaczy mi, że pieniądze robi się na spekulacji. – *No i trzeba też wykazać mniejszą sprzedaż, od której odprowadza się podatek.*

Krótki dźwięk klaksonu, dwie łobuzerskie buzie wyskakują zza metalowej bramy i otwierają ją szeroko. Wjeżdżamy na typowe tadżyckie podwórko, otoczone pomieszczeniami mieszkalnymi na planie prostokąta. Środkową część zajmuje ogródek. Jest też *tandyr*, gliniany piec do wypieku lepioszek, i *tapcian* – wielofunkcyjny podest w kształcie kwadratowego łóżka, który służy do siedzenia, spania itp. Muhsin dzielnie znosi powitalne obłężenie całej rodziny, jak gdyby jego nieobecność od dzisiejszego poranka do popołudnia wydłużyła się do kilku tygodni.

Po chwili żeńska część rodziny zaczyna kursować między kuchnią a tapcianem. Przynoszą tony słodkości i oczywiście – czajnik z zieloną herbatą. Trwa ramadan i do zmroku zostało jeszcze kilka godzin, ale stół dla gości w każdej chwili musi unieść to, czym chata bogata. Nigdy nie brakuje na nim słodczy, orzeszków, owoców. Latem w tadżyckiej kuchni króluje *szakarob* – siekane pomidory z cebulą i zieleniną w postaci zupy – podawany z lepioszką w drewnianej misce. W takiej misce podaje się też *kurutob*, przygotowywany z pomidorów, cebuli, zieleniny, kwaśnego twarogu i specjalnej lepioszki.

Wieczorem idziemy do mieszkającego w sąsiedztwie brata Muhsina, Amonbieka, z okazji 17. rocznicy jego ślubu. Podwórko Amonbieka wyróżnia dodatkowa zagroda, w której trzyma trzy barany – po jednym dla każdego ze swoich dzieci, dwóch córek i syna, gdy będą zakładać rodziny. W tadżyckiej rodzinie najważniejsza jest teściowa, która zazwyczaj mieszka z synem lub w bliskim sąsiedztwie i pilnie baczy, aby synowa słuchała męża i jej, bo wtedy na pewno nie zejdzie na złą drogę. Tradycją jest wybieranie przez



rodziców żon dla synów. Piętnastoletnia Maftuna z dumą pokazuje mi stos cienkich materaców wypełnionych bawełną (*kurpacie*), poskładanych w kostkę i sięgających niemal do sufitu. To wiano jej i starszej o rok siostry Masfuny.

SIEDEM JEZIOR W RÓŻNYCH BARWACH

W kącie wciśniętym między tadżyckie góry i Uzbekistan leży Pandżakent. Bardzo blisko

stąd do Samarkandy, ale granica z Uzbekistanem jest od wielu lat zamknięta. Droga, która prowadzi tu z Ajni, to góraska, nieutwardzona, wytyczona przez samochody serpentyna z ostrymi zakrętami i przepaściami. Leżą w nich wraki samochodów, pozostałości po śmiałkach, którzy próbowali tędy przejechać zimą.

Bywa tak, że jakieś przypadkowe znalezisko może posłużyć wielkiemu odkryciu. Tak było tu w 1976 r., gdy mieszkaniec pewnej wioski niedaleko Pandżakentu po wizycie

POD HIGHWAYEM

Graniczna rzeka Piandż pomiędzy Tadżykistanem i Afganistanem, licząca 1125 km długości. Równoległe do niej biegnie kamienisty trakt górski będący częścią słynnego i karkołomnego Pamir Highway.





MEDRESA CHODŻY MASZHADA
Częściowo zrekonstruowana
dawna medresa – szkoła
koraniczna chodży Maszhada
w Sajodzie, z IX–XII w. Dziś
pełni funkcję mauzoleum.



MAŁY WOZIWODA

W południowym
Tadżykistanie
odkręcenie kranu
z czystą bieżącą
wodą to marzenie.
Zaopatrzenie domostw
spada często na dzieci.

w muzeum historycznym oświadczył że niedaleko od domu znalazł brązowy topór, bardzo podobny do tego, który zobaczył w muzeum. Archeologów to zainteresowało, i rok później rozpoczęły się prace wykopaliskowe w miejscu, które obecnie jest znane jako starożytna osada rolnicza Sarazm (IV–III w. p.n.e.). W 2010 r. Sarazm znalazł się na liście UNESCO jako centrum formowania się tadżyckiego rolnictwa, rzemiosła i urbanistyki.

Kilka kilometrów od dzisiejszego miasta kryją się ruiny starego Pandżakentu z V–VIII w. Było to najbardziej na wschód wysunięte miasto Sogdiany, starożytnej krainy w Azji Środkowej, ze stolicą w Samarkandzie. Jej

mieszkańcy posługiwali się jednym ze wschodnioirańskich języków i są uważani za przodków Tadżyków. Współczesnymi potomkami Sogdyjczyków są Jagnobczycy, mieszkający w innej, odległej, zarafszkańskiej dolinie. Nie budowano im dróg, nie zakładano elektryczności. Dzięki odcięciu od świata zachowali odrębny język, jakim mówili mieszkańcy Sogdiany, oraz swoje obyczaje. W czasach sowieckich próbowano ich sprowadzić do innych dolin, gdzie byli potrzebni do uprawy bawełny. Po rozpadzie ZSRR szybko wrócili do dawnych siedzib.

W pobliżu Pandżakentu znajduje się siedem jezior o różnych kolorach. Pierwsze leży na wysokości 1600 m n.p.m., a ostatnie na 2400 m n.p.m. Według miejscowych podań odwiedzenie wszystkich siedmiu przynosi szczęście. Można do nich dotrzeć wynajętym samochodem z napędem na cztery koła, niektórzy wędrują piechotą z namiotami, a mnie udało się autostopem. Do wysokości piątego jeziora Tadżycy dojeżdżają samochodami osobowymi, ale na to nie odważyłby się żaden Europejczyk. Samochody, które u nas dokonały żywota, tutaj dostają nowe życie. Wymarzone na te warunki są poradzieckie gaziki.

DUSZANBE – NOWE PORZĄDKI

Z okien samochodu oglądam pierwsze obrazki stolicy najbiedniejszego, według statystyk, kraju WNP i zastanawiam się, dlaczego prawie przy każdej klatce stoi lexus? Tzw. rosyjskie kwartały ze starymi jednopiętrowymi budynkami są burzone i zastępowane nowoczesnym budownictwem. Ale nie można budować wieżowców, bo teren jest narażony na trzęsienia ziemi. W sercu Duszanbe stoi gmach nowej, zbudowanej przez Chińczyków, biblioteki imienia Firdousiego, autora perskiego eposu „Księga królewska”. Dobiaża końca budowa siedziby Muzeum Historycznego.

W mieście powstają nowe parki z jeziorkami, fontannami, wodospadami. Obraz Duszanbe z czasów sowieckich zmienił się zupełnie. Główna ulica miasta kiedyś nazywała się Czesława Putowskiego, Polaka i komunistycznego bohatera narodowego Tadżykistanu z okresu walk z basmaczami. W czasie przebudowy spychacze zepchnęły jego mogiłę.



Posłużyła jako budulec pod nową ulicę, która nosi dziś imię Ismaïla Somoniego. Ulubioną strefą wypoczynku mieszkańców Duszanbe są ośrodki wypoczynkowe i sanatoria po obu stronach rzeki Varzob. Zimna i rwąca woda nie sprzyja kąpielom, dlatego powstały tu liczne baseny. Kto woli kąpiel w jeziorze, ten jeździ nad malownicze Nurek, położone w rozległym wąwozie rzeki Wachsz. Jest tam najwyższa na świecie zaporę wodna i hydroelektrownia.

Przy jednym z varzobskich basenów w święto zakończenia ramadanu wypoczywają sami mężczyźni. Dlaczego nie ma kobiet? – *Dzisiaj jest święto, więc siedzą w domu i przyjmują gości* – pada odpowiedź. Jak Tadżykistan długi i szeroki, wszyscy mężczyźni mają w komórkach zdjęcia dzieci. Zdjęć żon nie mają, bo nie należy ich pokazywać obcym.

A IMIĘ JEGO 44

Niedaleko afgańskiej granicy w powiecie szahrtuskim jest słynne w Tadżykistanie i sąsiednim Uzbekistanie uzdrowisko o nazwie Czterdzieści Cztery Źródła. U podnóża niewielkiej góry spod ziemi wypływa pięć dużych źródeł, które rozpadają się na 39 mniejszych.

Wody ze wszystkich zlewają się i tworzą kanał. Powstanie źródeł, podobnie jak jeziora Band-e Amir w Afganistanie, tłumaczy legenda o sprawiedliwym kalifie Alim. Gdy pobliska rzeka Rotit wyschła, Ali ją przeklął. W czasie modlitwy o wodę uderzył ręką u podnóża góry, a wtedy z miejsc, których dotknęły jego palce, zaczęło bić pięć źródeł. Woda z siedemnastu ma właściwości lecznicze, np. na wypadanie włosów, krwotoki z nosa, malarię, ukąszenie żmii, choroby psychiczne itp.

Jeśli zagłębić się w niepozorną wioskę Sajod, nie da się nie zauważyć dwóch olbrzymich ceglanych kopuł. To ruiny medresy – szkoły koranicznej chodzi Maszhada z IX–XII w. Była centrum duchowym, kulturalnym i wychowawczym. Uczył się w niej perski poeta i podróżnik Nasir Chisrau (XI w.).

Po drodze z Sajodu do Szahrtuz zatrzymuje się przy sprzedawczyni arbuzów. To najgorętsze miejsce w Tadżykistanie, z najsmaczniejszymi owocami. Okrążam też miejscowy bazar i zaopatruję się w winogrona. Myję je w przydrożnej pierogarni. Jej właściciel, gdy usłyszał, że tak sobie jeżdżę i podziwiam Tadżykistan, pakuje mi na drogę kilka sztuk swoich wyrobów – od firmy.

PIKNIK W KOLORZE

Chleb Azji Centralnej, czyli lepioszka, herbata oraz cukier – i piknik gotowy! Ten odbywa się w rejonie szóstego z siedmiu kolorowych jezior Haft-Kul.

Nim wyszłam na rogatki, by złapać dalej stopa, poznałam Szavkata i musiałam zaspokoić jego ciekawość – skąd, dokąd i po co dźwigam swój plecak. W nagrodę przybyło mi do noszenia kilkadziesiąt deko słonecznika.

OSTATNIA CYTRYNA

Zbliżam się z powrotem do afgańskiej granicy. Wsiadam w Kumsangir i usiłuję złapać stopa do Pandzu. Wokół pustynne góry, nic nie

jedzie w żadną stronę. Jest upalnie, skończyła mi się woda. Mam jeszcze jedną cytrynę. Po jej zjedzeniu nabieram sił na kolejne kilometry. Gdzieś między górami spalonymi słońcem widzę dach. Moja radość nie zna granic. Są ludzie! Jednak dach należy do zimowej siedziby pasterzy. Nadal nic nie nadjeżdża. Powoli nadchodzi zmrok. Rozładowuje mi się telefon...

Odwracam głowę i widzę samochód. Czy to przywidzenie? Mimo to staję pośrodku drogi, żeby przypadkiem mnie nie ominął.



Teraz pasażerowie przecierają oczy ze zdumienia – co ja tu robię? Samochód jest pełen, ale w Tadżykistanie nie istnieje pojęcie „nie ma miejsca”. Pytanie, czy nie chcę herbaty, i wyciągnięta w moją stronę butelka dopełniają szczęścia. Potem nocne zrywanie melonów i arbuzów z ogródka współpasażerów, którzy zaprosili mnie do siebie...

Pijemy herbatę. Ale drugi i trzeci dzbanek już nie smakują tak, jak pierwszy. I herbata ma inny wygląd. Jest mętna, mulista. Osobliwością

tutejszego rejonu jest niedostatek wody pitnej, choć Tadżykistan ma przecież duże jej zasoby. Są wodociągi i uliczne kranie, ale woda w nich płynie kilka godzin dziennie. Gdy zabraknie w kranach, mieszkańcy czerpią ją z brudnych kanałów. Wzdłuż nich, a także w wielu innych miejscach, są za to bilbordy z uśmiechniętym prezydentem Rahmonem odwiedzającym jakąś fabrykę lub maszerującym wśród kwitnących łąk i odbierającym kwiaty od uśmiechniętych dzieci.



JEZIORO ALEKSANDRA

Iskanderkul – akwen, który według tradycji wziął swoją nazwę od Aleksandra Wielkiego.

Legenda głosi, że w czasie kampanii indyjskiej wódz napotkał tu osadę, która nie chciała mu się poddać. Kazał więc tak uszczelnić koryta rzek, aby ją zatopić.

W rezultacie powstało jezioro.



Wysiadam na tyłach twierdzy Hulbuk. Rozległe zameczysko wyglądem przenosi w dawne wieki, kiedy Hulbuk był stolicą Chatlonu i jednym z największych miast Azji Środkowej. Spotykam dyrektora muzeum. Poznałam go dwa lata wcześniej, kiedy siedziałam na schodach zamku i pisałam pamiętnik. Nie miałam ochoty na zwiedzanie, ale on zaczął bardzo ciekawie opowiadać o historii grodziska, o murach z IX–XI w., grobach, w których znaleziono gigantyczne, dwumetrowe ludzkie szkielety. W muzeum są m.in. fragmenty elewacji z motywem swastyki, która w Azji od starożytności była symbolem szczęścia, pomyślności oraz religii buddyjskiej. Na terenie miasta istniały wodociągi, twierdza miała ogrzewanie w postaci ceglanych rynien pod podłogą oraz system odprowadzania śmieci. Teraz dyrektor chwali się tym, co udało mu się wyremontować przez ostatnie lata.

DWIE WIEŻE

Fragmenty umocnień siedziby gubernatora Wschodniego Emiratu Buchary w Hisarze. Na pozostałościach starych glinianych murów odbudowano ceglana bramę zamku z dwoma cylindrycznymi wieżami.

BESZIK, CZYLI PĘPKOWE

Sprzedawcy beszików na targu w Hisarze.

Beszik to dziecięca kołyska, zdobiona w motywy ludowe. Ofiarowuje się ją dziecku, gdy skończy 40. dzień życia, i jest to pretekst do dużej uroczystości rodzinnej.



FOT. RENATA MATUSIAK

**Renata Matusiak**

Nauczycielka, przez dwa lata pracowała w Kirgistanie jako lektorka języka polskiego na Kirgisko-Rosyjskim Uniwersytecie Słowiańskim. Prowadziła audycje „Polonia” w Programie I Kirgiskiego Radia. Odwiedziła 58 krajów. Podróżuje sama, niskobudżetowo, najczęściej autostopem.

GÓRA SOLI Z TADŻYKAMI

Po drodze z Wose do Kulabu widać górę Cho-dza Mumin. Gdy dotrzeć do niej bliżej, mieni się różnymi kolorami. Jest zbudowana z soli. Kiedy zobaczył ją Marco Polo, stwierdził, że tyle soli wystarczy na cały świat i do końca świata. Skąd się wzięła? Na terenie Azji Centralnej było niegdyś ogromne ciepłe morze, które wyschło. Miejscami pozostały głębokie laguny i jedna z nich była na miejscu owej góry. Na skutek parowania osadzała się sól, później w wyniku ruchów tektonicznych jej pokłady zostały wyniesione w górę.

Do Kulabu dojeżdżam z właścicielem sadów owocowych, który narzeka na upadek kultury rolnej po rozpadzie ZSRR. Kulab to jedno z najstarszych miast Tadżykistanu, osadnictwo w tym miejscu liczy ponad 2700 lat. Leżał na odgałęzieniu Wielkiego Jedwabnego Szlaku. Na mapie dzisiejszego Tadżykistanu również jest to miejsce

uprzywilejowane, bo stąd pochodzi prezydent kraju. Dlatego większość środków przeznaczonych na inwestycje dociera właśnie tutaj. Pięknie odnowione jest mauzoleum działacza religijnego i poety z XIV w. Mir Saida Ali Chamadoniego; to miejsce pielgrzymek zwolenników jego sufickich nauk.

Wychodzę na drogę i wyciągam kciuk w kierunku Badachschanu. I znów jestem zaproszona na nocleg i na wesele. Prezydent kraju, w trosce o portfele swoich obywateli, zakazał urządzania nader wystawnych przyjęć weselnych i ograniczył dozwoloną liczbę gości do 150, co brzmi kuriozalnie przy miejscowych zwyczajach. Młoda para przez całą wieczór wstaje i bije pokłony w stronę gości, dziękując za życzenia, za taniec i za to, że są...

Tadżycy mają cztery zasady: goście muszą czuć się jak najlepiej, zostać jak najdłużej, jak najwięcej zjeść i jak najszybciej do nich wrócić. ○

ZA NAMI:



AKADEMIA MAŁEGO PODRÓŻNIKA

STREFA AKTYWNOŚCI NA PRZYSTANKU WOODSTOCK



Najmłodszy są szczególnie bliscy marce Regatta, która ma dla nich szeroką ofertę odzieży. Dlatego w tym roku na Przystanku Woodstock przygotowała wyjątkowe miejsce: strefę aktywności, w której mogły poruszyć nie tylko swoje ciała, ale i wyobraźnię. W Akademii Małego Podróżnika na młodych odkrywców – oprócz trampoliny i slackline'a – czekały: bańki giganty, malowanie buziek, warsztaty etnograficzne, rysowanki i manufaktura recyklingu.

Dorośli mogli przyprowadzić swoje pociechy do namiotu Akademii, a sami odpocząć po nocnych koncertach – na pufach w strefie rodzica. Regatta zaprosiła również do rywalizacji w pięcioboju sprawnościowym pod hasłem: „Nie siedź! RUSZ SIĘ!”. Bo każdy ruch to zdrowie i nie trzeba być wyczynowym sportowcem, żeby prowadzić aktywny tryb życia!

ZAPOWIEDŹ

BIEG 4REST RUN
 W DRUŻYNIE
 JEST MOC!



Zawody 4Rest Run, które odbędą się 17 września 2017 r. w Puszczy Niepołomickiej, są z wielu powodów wydarzeniem niezwykłym. W rywalizacji sportowej w pięknych okolicznościach przyrody startują drużyny 4-osobowe. Każdy z członków zespołu pokona ok. 10,5 km, które razem złożą się na dystans maratonu. W zawodach biorą udział przyjaciele, zespoły sportowe, członkowie grup biegowych czy przedstawiciele firm. Rywalizacja drużynowa daje niezwykłą moc płynącą z bycia razem! Bonami zakupowymi od marki Regatta nagradzane będą miejsca od 1 do 3 w kategoriach drużyn męskich, żeńskich i mieszanych.

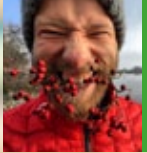
SWIMRUN POLAND
 NOWA DYSCYPLINA
 SPORTU!

ZAPOWIEDŹ



Swimrun to wyjątkowe wyzwanie, które polega na pokonywaniu dystansu jedynie przy pomocy własnych mięśni, naprzemiennym pływaniu na otwartych wodach i bieganiu w zależności od naturalnego ukształtowania terenu. Wyścigi odbywają się w unikalnych przyrodniczo miejscach, a trasę pokonuje się w dwuosobowych zespołach. Pierwsze w Polsce zawody Swimrun, wspierane przez Regatta RUSZ SIĘ!, odbędą się 9 września 2017 r. w Polańczyku nad Soliną.

WIĘCEJ INFORMACJI O IMPREZACH NA **RUSZSIE.ORG**



OGRÓDKOWI PARTYZANCI

FOT. SHUTTERSTOCK

Kiedy już naprawdę nie mam szans na wypad do lasu, ostatnią deską ratunku są parki i miejska zieleń. Nawet te małe przyuliczne kleksy z trawy, kwiatów i drzew. Im więcej, tym lepiej się czuję. Ale jest z tym coraz gorzej, bo nasze miasta są rozjeżdżane przez samochody. Kierowcy wpychają się absolutnie wszędzie: parkują na chodnikach i niszczą trawniki.

Pod moim domem jest pięć skrawków zieleni, mają mikroskopijne rozmiary, nie więcej niż po metrze kwadratowym. Są otoczone metalowymi siatkami albo grubymi rurami, żeby kierowcy ich nie zajędzili. I siatki, i rury są powyginane, widać ktoś jednak wjechać próbował. To jest problem praktycznie wszystkich polskich miast – samochody przejmują przestrzeń i zostawiają po sobie betonową pustynię.

Nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzic, dopóki nie usłyszałem o Zielonym Łazarzu, organizacji, którą założyła była dziennikarka Radia Merkurium Kalina Olejniczak ze swoim ówczesnym partnerem Jackiem Polewskim. Zamiast czekać, aż miasto coś z tym zrobi, sami wzięli sprawy w swoje ręce – ruszyli odzyskać trawniki. Zostali ogródkowymi partyzantami.

– Nie trzeba było zakładać tego trawnika, teraz nie ma gdzie zaparkować – żartuje Kalina, kiedy próbujemy stanąć przy skwerze na skrzyżowaniu Dolnej

Wildy z Górną. Kilka miesięcy temu stał tutaj rząd samochodów, teraz jest przekopana ziemia, zasadzone krzewy i posiana trawa. Musimy zaparkować kilkaset metrów dalej.

– ZDM przeprowadzał tutaj prace, rozkopał chodnik, zlikwidował bariery, które utrudniały wjazd i potem tak to zostawił. Kierowcy od razu skorzystali – opowiada Kalina. To plaga nie tylko w Poznaniu. Parkowanie na trawnikach stało się polską tradycją. W Warszawie Zarząd Oczyszczania Miasta tylko w 2015 r. odtworzył blisko 80 tys. m² zdevastowanych trawników. Koszt: 370 tys. zł plus prawie milion na 15 km wygrodzeń, które mają umożliwić wjazd na pasy zieleni.

– Była wiosna, niedziela. Przeszedłem się naszą pustą ulicą, na której nie stał ani jeden samochód. W poniedziałek wszystko było zastawione. Na każdym skrawku stały samochody. Powiedziałem sobie: dość – wspomina Jacek. Najpierw próbowali wyperswadować kierowcom z okolicznych

firm, żeby nie parkowali na trawnikach, a kiedy to nie podziałało, wzięli łopaty, sadzonki i kołki, skrzyknęli znajomych i zaczęli na nowo zakładać trawniki.

Stali się ogródkowymi partyzantami nie tylko dlatego, że parkowanie na trawnikach psuje im widok, ale przede wszystkim dlatego, że zabija drzewa. – Pod ciężarem samochodów ziemia z czasem robi się twarda jak beton. Do tego dochodzą wycieki z auta, np. olej, zimną sól, przez cały rok psie odchody – tłumaczy Kalina. Taki betonowy placek nie przepuszcza wody ani związków mineralnych potrzebnych drzewom. Widać to po opadach, kiedy woda zamiast wsiąkać w ziemię stoi w kałużach. Po pewnym czasie drzewa zaczynają wysychać i obumierać.

Badania amerykańskich naukowców opublikowane w magazynie „Nature” dowodzą, że „ludzie, którzy żyją w dzielnicach z większą liczbą drzew posadzonych wzdłuż ulic, lepiej postrzegają stan swojego zdrowia i mają mniej problemów

z sercem. Okazało się, że dosadzenie średnio 10 drzew na tyle poprawia samopoczucie, że gdyby przełożyć to na cyfry, wyszłoby, że dana osoba zarabia o 10 tys. dolarów rocznie więcej albo czuje się o siedem lat młodsza. Gdyby dodać jeszcze jedno drzewo, wzrost samopoczucia można by przyrównać do podwyżki o 20 tys. dolarów rocznie albo bycie o czternaście lat młodszym”.

– *Drzewa nie tylko oczyszczają powietrze, ale także chłodzą otoczenie z wydajnością równą pięciu przeciętnym klimatyzatorom, nasadzone wzdłuż dróg niwelują hałas o dwa decybele i są domem dla tysięcy organizmów* – mówi Kalina. Zieleni odpowiada także za obniżenie poziomu stresu i ciśnienia we krwi, pomaga się zregenerować psychicznie i fizycznie, zmniejsza śmiertelność niezwiązaną z wypadkami, a ludzie żyjący w pobliżu drzew rzadziej chorują.

Żeby odtworzyć trawnik przy ulicach Dolna i Górna Wilda, skrzyknęli się sąsiedzi i przynieśli ziemię i narzędzia. Szkółki Kórnickie dały krzewy, Ogród Wilda – cebulki kwiatów. „Kupiłem kilka worków ziemi w kwaciarni Kapitan na Rynku Wildeckim” – napisał na stronie wydarzenia Hubert Kożuchowski, uczestnik akcji. „Pani spytała, czy kwiatki przesadzam. Kiedy opowiedziałem jej, na co ta ziemia, i co społecznicy jeszcze robią na Wildzie, bardzo się ucieszyła. Pożegnaliśmy się miło, nie zdążyłem ująć 50 m, a pani już mnie wołała z powrotem. Zwróciła mi gotówkę i powiedziała, że też chce się jakoś do akcji dołączyć”.

Joanna rewitalizuje Jeżyce i zaułek Krystyny Feldmann. Zasadziła choinki, które po świętach przekazali jej sąsiedzi. Co było tam wcześniej? – *Miejsce spotkań jeżyckich żuli. Tysiące kapsli. Pobite szkło. Ludzie wyprowadzali tam psy, sami także sikali.* – Teren rok temu został ogrodzony i wtedy Joanna przystąpiła do pracy. Sąsiedzi przynosili sadzonki. – *Chodziło mi o osiągnięcie przeciwnieństwa efektu zbitę szyby* – tłumaczy Joanna, która z wykształcenia jest filozofką. – *Kiedy szyba jest cała, nie dokładamy tam już potłuczonej butelki* – opowiada Kalina i tłumaczy, że takie akcje mają sens tylko wtedy, jeśli ludzie będą chcieli się w nie angażować. Oni sami z Jackiem nie mogą wszędzie jeździć, kopać i pilnować później, żeby na trawnik nie wjeżdżali kierowcy. – *Zawsze potrzebny jest ktoś, kto mieszka w okolicy*

i będzie się tym miejscem opiekował. Zieleni musi być związana z ludźmi, którzy o nią dbają. My nie robimy komuś, robimy to sobie. To jest nasza ulica, nasza przestrzeń, nasz Łazarz czy Wilda, nasz Poznań – tłumaczy Jacek.

Przespacerowaliśmy się do piekarni Pracownia GODny na rogu Wierzbicięcej 20 i św. Czesława. To jedyna w Poznaniu rzemieślnicza pracownia chleba na zakwasie. Pracują w niej mocno zakręceni ludzie. Kalina przyprowadziła mnie tutaj nie po to, żebym zobaczył chleb, ale żebym posłuchał, co piekarze mają w planach. – *Na wiosnę wysiejemy pszenicę, a pomiędzy nią chabry i maki. O tu, wokół drzew. Tych, wokół których parkują samochody. Piękniej będzie* – tłumaczył mi jeden z piekarzy.

Z piekarni pojechaliśmy na Łazarz, na ul. Nehringa, gdzie wszystko się zaczęło. Kiedyś na trawnikach parkowały samochody pracowników biur. Teraz jest trawa, krzewy i drewniane kołki od strony ulicy. – *Gdzie teraz ludzie mają parkować?* – pytam. – *Tak jak mówi prawo: na ulicy, wzdłuż krawędzi. Parkowanie na trawnikach jest zabronione.*

Spacerujemy obok pasów zieleni, a Kalina opowiada mi, jak było na początku trudno. Że pracownicy pobliskiej firmy nie zwracali uwagi na ich prośby, nawet mieszkanki mówili, żeby dać spokój: niech parkują.

– *Opór był duży. Ludzie pytali się, kto nam za to płaci. Ale kiedy mówiliśmy, że nikt, że chodzi o to, żeby żyło nam się lepiej i ładniej, niektórzy się przyłączyli albo deklarowali pomoc.* Kiedy wcześniej pytałem Jacka, po co to robi, odpowiedział: – *Niektórzy wolą posiedzieć przed telewizorem i obejrzeć serial. Ja wolę pomachać kilofem.*

W 2007 r. okazało się, że grzebanie w ziemi dobrze wpływa na zdrowie. Wyniki badań przeprowadzonych przez Chrisa Lowry’ego z Boston University pokazały, że bakterie obecne w glebie, *Mycobacterium vaccae*, mogą pozytywnie wpływać na leczenie klinicznej depresji, raka, choroby Krohna i reumatoidalnego zapalenia stawów, a także obniżyć poziom stresu i pobudzać kreatywność. Dzieje się tak m.in. poprzez uwalnianie serotoniny z mózgu, kiedy dotrze do niego wiadomość o obecności wspomnianych bakterii w organizmie.

„Rezultaty są intrygujące z dwóch powodów” – pisał tygodnik „The Economist”.

„Przede wszystkim otwierają możliwość leczenia depresji za pomocą szczepionki z tych bakterii oraz nową drogę wyjaśnienia, dlaczego depresja występuje u coraz większej liczby osób. Dwie inne choroby, które stały się dużo częstsze ostatnimi laty, to astma i alergie, obie powodowane przez system immunologiczny, który zamiast chronić komórki organizmu, atakuje je. Jedno z wyjaśnień może być takie, że odpowiedzialna jest za to nadmierna higiena. Dzieci, które były wychowywane w sterylnych środowiskach wykształcają wadliwy system immunologiczny, który potem szuka problemów, kiedy te nie istnieją. Podobne wyjaśnienie może mieć zastosowanie w przypadku depresji. Jeśli ultrahigieniczne otoczenie nie stymuluje interakcji między mózgiem i systemem immunologicznym (i w efekcie mózg nie wytwarza serotoniny lub wytwarza jej za mało), niektórzy mogą źle reagować na ten brak. Nikt nie sugeruje, że jest to pełne wytłumaczenie depresji, ale może się okazać jego częścią” – tłumaczy „The Economist”.

Dla mnie ogródkowa partyzantka przede wszystkim pozostaje świetnym sposobem na spędzenie czasu po pracy. Jeśli nie możesz wyjechać za miasto albo nie masz na to pieniędzy, chwyc łąpatę i przekop trawnik. Spotkasz się ze znajomymi, zadbasz o drzewa, swoje zdrowie i dobre samopoczucie. ☉

Informacje praktyczne:

- Miejsce: dowolny publiczny trawnik, z którego zostało klepisko.
- Czas: 5–7 godzin.
- Co zabrać: łąpatę, kilof, grabie, rękawice ogrodnicze, drewniane kołki, nasiona trawy, krzewy, rodzinę lub grupę znajomych.
- Koszty: zależne od rozmiaru prac.
- Poziom trudności: umiarkowany, trzeba trochę namachać się łąpatą i nadźwigać.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



MIASTO Z MITU

Marta Legieć



Tu spełnia się nie tylko amerykański sen, ale podobno każde marzenie. Los Angeles to raj na ziemi, w którym słońce rozpieszcza przez okrągły rok, wino smakuje lepiej niż we Włoszech, hamburgery nie mają sobie równych, a na ulicy można spotkać Brada Pitta.



ZAKUPY POD PALMAMI

Rodeo Drive – to właśnie tutaj najczęściej można spotkać największe gwiazdy. Snują się od sklepu do sklepu w poszukiwaniu nowych ekstrawaganckich strojów, biżuterii czy gadżetów.

Dotałam akurat na zachód słońca. Piękny, osławiony, niepowtarzalny. Przeleciałam pół globu, żeby zobaczyć ten obrazek. Na szczęście świat się skurczył do tego stopnia, że aby dotrzeć z Warszawy do Los Angeles, leżącego na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, potrzebovałam zaledwie 13 godzin.

Wylądowałam w mieście zbudowanym z mitu, w którym ludzkie marzenia są większe niż w jakimkolwiek innym miejscu, choć każdy marzy o czymś innym. Przekonałam się o tym już na lotnisku, kiedy celnik zapytał mnie, w jakim celu przyjechałam do Kalifornii, a zaraz potem rzucił kolejne pytanie: – *Przywiozłaś polskie pierogi?* – W szerokim uśmiechu odłożył szpaler śnieżnobiałych zębów, puścił oczko i oddał paszport.

ZAKUPY Z GWIAZDAMI

Pamiętacie „Pretty Woman”? I tę słynną scenę, kiedy Julia Roberts, kołysząc zamasyżycie biodrami, w białej sukience i czarnym kapeluszu, przechadzała się między nieziemsko drogimi butikami? Spacerowała po Rodeo Drive, najdroższej ulicy w USA. To tutaj bogaci tego świata robią zakupy. 50 dolarów za parę skarpet? Proszę bardzo. A może 15 tys. dolarów za garnitur? Dlaczego nie! Podobno przeciętny klient wydaje w tym miejscu około 100 tys. dolarów.





Giorgio Armani, Bvlgari, Buccellati, Cartier, Chanel, Christian Dior... Szyldy luksusowych sklepów i bogate wystroje zachęcają do wejścia. Spaceruję po tej świątyni luksusu i zastanawiam się, w którym z butików robi właśnie zakupy któraś z wielkich gwiazd. Zaparkowane przed sklepami sportowe bugatti i ferrari wyzwalają u przechodniów adrenalinę.

Rodeo Drive jest eleganckie, ale nie tłoczne, a luksus nie onieśmiela. Można spacerować do woli. Można też przejechać się oryginalnym autobusem z lat 50. z drewnianymi ławkami i boazerią na ścianach, który wolno niczym ślimak porusza się po ulicach Beverly Hills. Raz, że wiekowy i nie może nabrać rozpędu, a dwa, że tu nie ma się co spieszyć.

Jesteśmy w dzielnicy, która uplasowała się na szczycie elitarnych adresów. To najdroższy rynek nieruchomości w Stanach Zjednoczonych i jeden z najdroższych na świecie. Za dom płaci się średnio od kilku do kilkunastu milionów dolarów, ale bywa, że i 100 mln. Oglądanie rezydencji lub wysokich ogrodzeń,

które je okalają, trochę trwa. To tutaj mieszka hollywoodzka śmietanka – Bruce Willis, Reese Witherspoon, Madonna, Nicole Kidman, Penelope Cruz, Robbie Williams... I choć niektóre rezydencje zaliczają się do architektonicznych koszmarek, to – podobnie jak tysiące turystów odwiedzających te miejsca – możemy ulec tutejszej magii. Trudno przecież minąć bez emocji willę, a tak naprawdę bungalow, Marilyn Monroe! Podobno właśnie w nim zaczął się jej słynny romans z prezydentem Johnem F. Kennedym. Nie zdziwicie się też, kiedy przed jedną z rezydencji spotkacie całkiem niezłe ubranych ludzi, którzy grzebią w kubłach na śmieci. Bywa bowiem, że odpady są przeszukiwane przez paparazzi. Sława ma swoją cenę.

PRZYPADKOWY HOLLYWOOD

Los Angeles jest oczywiście także mekką dla artystów, których przyciąga jedno słowo – Hollywood. We mnie wywoływało ono zmienne emocje. Zgiełk jest tu momentami

GWIAZDOZBIÓR

Na chodnikach Hollywood Boulevard błyszczą marmurowe gwiazdy z nazwiskami znanymi z kina, telewizji i estrady. Jest ich tutaj 2400, więc znalezienie należącej do swojego idola może trochę potrwać.



NIE TAKA DOWN!

Kilkadziesiąt lat temu Downtown było jednym z najtańszych miejsc w LA i niewielu chciało tu rezydować. Dzisiaj to dzielnica biznesowa i modne miejsce miasta.

przytłaczający, ale mimo to nie można tego miejsca opuścić. W końcu Hollywood Boulevard to słynna ulica Ameryki, z umieszczonymi w chodniku gwiazdami, na których podpisali się wielcy bohaterowie zbiorowej wyobraźni. Wszechobecny kicz i komercja Hollywood mają nieodpartą magię.

Arnold Schwarzenegger czy Steven Spielberg – które za 12,5 mln dolarów wykupiły teren.

W poszukiwaniu idealnego miejsca do zrobienia pamiątkowej fotografii słynnego napisu trzeba nieźle się najeździć wąskimi uliczkami miasta. Wstęp na teren, na którym znajduje się konstrukcja, jest zagrodzony i niedostępny

Ta dzielnica LA na północnych przedmieściach powstała przypadkiem. W 1857 r. rodzina Horacego Wilcoxa założyła farmę. Dookoła rosły ostrokrzewy (ang. *holly*) i lasy (ang. *wood*), posiadłość nazwano więc Hollywood. Kilkadziesiąt lat później zalety tego miejsca odkryli uciekający z Nowego Jorku filmowcy. Natura tworzyła tu wyjątkowe plenery, a w komplecie otrzymywali jeszcze idealną pogodę. W 1912 r. powstało studio filmowe Universal Pictures, a zaraz potem następane. Niespełna dziesięć lat później postawiono Hollywood Sign, który budzi emocje do dziś i jest rozpoznawalnym symbolem fabryki snów.

Początkowo napis na południowym zboczu góry Lee brzmiał „Hollywoodland”. Trzyście drewnianych liter o wysokości 14 m było podświetlanych przez cztery tysiące dwudziestowatowych żarówek. W 1944 r. zlikwidowano końcówkę „land” i tak powstał napis, który wrósł w pejzaż miasta i świadomość mieszkańców. Stał się rozpoznawalnym na całym świecie symbolem – znakiem sukcesu, sławy, pieniędzy, ośniewającej kariery. Każdy chce zobaczyć te osławione litery. Tymczasem o mały włos zniknęłyby ze wzgórz okalających miasto. Siedem lat temu napis planowano zburzyć, a teren sprzedać pod budowę luksusowych osiedli mieszkalnych. Opór postawiły gwiazdy kina – Tom Hanks,

dla zwiedzających. Kto chce zrobić zdjęcie, musi radzić sobie inaczej. Najlepiej poszukać dobrego punktu widokowego. Znalazłam taki przy skrzyżowaniu Hollywood Boulevard oraz North Highland Avenue.

Skoro uwieczniłam już napis, przyszedł czas na kolejne atrakcje. Najbliższe miałam pod nogami. Deptałam gwiazdę za gwiazdą. Marmurowe, lśniące, z wypisanymi nazwiskami, jakie znam z kina i telewizji. Na Hollywood Boulevard jest ich w sumie 2400. Kręci się tutaj także wielu dziwaków. Pirat z Karaibów, jakby nieobecny, bez przerwy wertuje coś w telefonie. Między tłumem turystów biegają podobizny Michaela Jacksona, jest też Spiderman, Batman i urocza Minnie Mouse z wielką kokardą na czubku głowy. – *Mogę zrobić sobie z tobą zdjęcie?* – pyta ją dziewczynka ubrana w koszulkę z bohaterami Disneya. – *Oczywiście, za dziesięć dolarów* – odpowiada Minnie.

Odwracam się na pięcie i przed oczami mam Dolby Theatre (dawniej Kodak Theatre) – kompleks, w którym każdego roku odbywa się oscarowa gala. Bez czerwonego dywanu obsianego tłumem gwiazd wygląda jakoś zwyczajnie. Udaje mi się wejść do środka

i postawić nogę na tej samej scenie, na której stają bohaterowie Oscarów. Sam teatr jest raczej niewielki. Teraz w pierwszych rzędach siedzą kartonowe postacie przedstawiające znanych aktorów – dokładnie w tych miejscach, w których siedzieli podczas wielkiej gali.

SMACZNIE I ROMANTYCZNIE

Kalifornia jest ojczyzną emigrantów z całego świata, a Los Angeles, obok Miami, ma

SURFER Z LA

Wbrew nazwie Pacyfik nie jest wcale spokojnym morzem, a z potyczek z nim tylko niektórzy wychodzą wygrani.



PLAŻA, PUSTA PLAŻA...

Wprawdzie kameralna Manhattan Beach została obudowana architekturą nierównej jakości, ale jest to idealne miejsce na ucieczkę od zgiełku tego gigantycznego miasta.



...MOŻE FRYTKI DO TEGO?

Owoce morza, meksykańskie jedzenie, no i frytki. No trudno, trzeba spróbować.

większy procent osób urodzonych poza granicami USA. Mieszają się tu religie i odcienie skóry. Wiadać to nie tylko na ulicach, czuć też w tutejszej kuchni, która łączy wszystkie receptury i tradycje. Podczas wędrówki przez miasto można sobie zafundować kulinarną podróż dookoła świata. Ot, choćby w otwartym 100 lat temu Grand Central Market, do którego wpadłam na szybkie śniadanie. Jeśli chcecie poczuć się „po amerykańsku”, spróbujcie naleśników z syropem klonowym. Aby jednak wczuć się w rolę mieszkańca Los Angeles, musicie wybrać coś typowego dla tego miejsca.

– *Mexican food is very LA* – słyszę od kelnerki,



FOT. MARTA LEGEĆ

PACIFIC COAST HIGHWAY

Jedna z najpiękniejszych amerykańskich dróg. Prowadzi wzdłuż zachodniego wybrzeża USA i zapewnia wyborne widoki na ocean oraz obiegające go wzgórza.



FOT. MARTA LEGEĆ

kiedy zamawiam swoje danie. Bardzo w stylu LA jest też hamburger – z sieciówki, choć wcale nie taki najzwyczajniejszy. In-N-Out, do którego wreszcie trafiam, założyło małżeństwo Harry i Esther Snyder jeszcze w 1948 r. Do dziś trzyma poziom. Anthony Bourdain, gwiazda telewizji i znany kulinarny celebryta, w jednym z odcinków swojego programu „Miejsca nieznane” rozkoszował się tutejszą kanapką i frytkami.

Wśród innych atrakcji Kalifornii nie sposób pominąć brzegu oceanu. Plaże są takimi samymi bohaterami, jak aleja sław w Hollywood czy Rodeo Drive. To na nich kręcono „Słoneczny Patrol”, „Beverly Hills 90210” i setki innych filmów. Swoją drogą, ciekawostką dla wielu jest informacja, że tajemnicze 90210 to nic innego, jak kod pocztowy.

Turyści trafiają zwykle na Venice Beach, opisywaną w przewodnikach jako najbardziej romantyczne miejsce w sercu Kalifornii. Jest pięknie, ale tłoczno. Zdecydowanie wolę bardziej kameralne miejsca, dlatego na niespieszne obserwowanie oceanicznych fal i obmycie się z miejskiego zgiełku wybrałam Manhattan Beach.

Wbrew swojej nazwie Pacyfik potrafi być tu całkiem niespokojny. Przerazający, ale też piękny w intrygujący sposób. Z perspektywy miękkiego, złocistego piasku obserwuję surferów walczących z falami. Niektórzy z tej potyczki wychodzą niezwykłymi.

DROGA DO SANTA MONICA

Z centrum miasta do Santa Monica można dotrzeć w parę chwil. Ale ja nie chciałam iść na łatwiznę. Wybrałam trasę trochę dookoła, wiodącą przez Ventura Freeway, by później choć przez moment zachłysnąć się Pacific Coast Highway i niezwykłymi obrazkami, jakie serwuje.

Urzekł mnie widok majaczących gdzieś w oddali winnic. Kalifornia jest przecież czwartym, po Francji, Włoszech i Hiszpanii, największym producentem wina na świecie. Uprawy winorośli zajmują tu prawie 2 tys. km², a tutejsze marki znajdują uznanie najbardziej wymagających konosatorów. Enoturystyki jednak nie planowałam, bowiem główną rolę w mojej bajce grały plaże. I droga wijąca się

wzdłuż oceanu. Aż dotarłam do Malibu z cudownie miękkim piaskiem.

Nie spodziewałam się, że tak tu spokojnie. Z jednej strony białe fale, z drugiej – wzgórza rozparcelowane na niewielkie, ale superdrogie działki. I tu, podobnie jak w Beverly Hills, lista lokatorów brzmi jak rejestr gości zaproszonych na galę Oscarów, choć dla wielu z nich to raczej weekendowa lokalizacja.

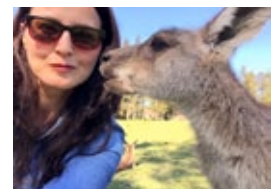
Na koniec zerkam na napis „Route 66” w Santa Monica. Właśnie tu kończy się „matka wszystkich dróg”, uznawana do dziś za najbardziej fascynującą szosę świata. Droga 66 – bohaterka niezliczonych opowieści, książek, piosenek, filmów i programów telewizyjnych. Zaczyna się w Chicago, by dotrzeć nad Pacyfik. Daje nadzieję na wielką przygodę. Może i dla mnie? ○



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

ZAPUŚĆ SIĘ W PUSZCZĘ

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Choć bliżej jej do Białegostoku, swoją nazwę zawdzięcza małemu miasteczku Knyszyn. Puszcza Knyszyńska to drugi co do wielkości kompleks leśny w północno-wschodniej Polsce. Tylko Puszcza Białowieska przerasta rozmiarami ten leśny raj nad rzeką Supraśl. Kiedy cała uwaga mediów i ekologów skupiła się wokół białowieskiej kniei, postanowiłem zbadać las, o którym prawie nikt nie mówi.

Ten bór granicami dotyka Białegostoku. To dość dziwne, bo puszcza kojarzy się raczej z nieprzebytą, leśną gęstwiną. Jednak tu życie toczy się od tysięcy lat. Kiedy lodowiec ustąpił, a zmiany klimatu sprawiły, że te tereny porosły drzewami, pojawili się pierwsi osadnicy. Tak wspinały las, rzeki i dobre warunki do hodowli bydła zatrzymały ludzi, którzy zostali do dzisiaj. Nadal mieszkają w urokliwych puszczańskich osadach oddalonych od cywilizacji, do których prowadzą szutrowe drogi.

Swoją przygodę rozpocząłem w Supraślu. To miejsce stało się tłem dla wielu filmów o Podlasiu. Jest to bardzo ciekawe miasteczko z niską zabudową, w dużym stopniu drewnianą. Zwiedzanie warto rozpocząć od wizyty w Muzeum Ikon z bardzo ciekawą ekspozycją. Nowe światło na historię Podlasia rzuca również spacer po monastyrze i cerkwi Zwiastowania NMP. Po podróży w świecie duchowym można się dowiedzieć sporo

o prozie życia w Muzeum Sztuki Drukar-skiej i Papiernictwa.

Po muzealnym maratonie idealnie sprawdzi się spacer bulwarami w kierunku centrum. Przy ryneczku znajduje się kilka kawiarni i bardzo urokliwy pałac Buchholtzów. Długa ulica gęsto zabudowana drewnianymi domami prowadzi wprost do kościoła Trójcy Świętej. Warto skrócić tu w ul. Piłsudskiego i przejść do restauracji Łukaszówka. W cichym zakątku na obrzeżach Supraśla można skosztować tradycyjnej podlaskiej kuchni.

Po wizycie w miasteczku trzeba wreszcie zobaczyć piękno lasu. Możliwości jest wiele. Jedną z nich jest długa, malownicza i asfaltowa droga do Krynek. Z okna samochodu można podziwiać przepiękny sosnowy las. Druga możliwość to opuszczenie Supraśla szutrową drogą w kierunku Królowego Mostu. Co ciekawe, nawigacja GPS wskazuje ten przejazd przez las jako najszybszą drogę do Kruszynian. Droga tylko z początku jest lekko dziurawa, a im dalej w las, tym szuter robi się równiejszy.

W Puszczy Białowieskiej ze świecą szukać takich dróg.

Po sympatycznej przejażdżce docieramy do drogi, która prowadzi do granicy z Białorusią. Gdy skieruje się na wschód, kilka kilometrów przed Bobrownikami można zobaczyć skręt w lewo i kierunkowskaz na Kruszyniany. Można skrócić w ten szuter albo pojechać jeszcze dalej



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



z której leśną drogą jeszcze bardziej trzeba zapuścić się w las. Cisza, spokój i świeże powietrze w pakiecie.

Jeśli jednak wróci się na drogę nr 676 (Krynki-Supraśl), to po dotarciu do Kopnej Góry proponuję skręcić na północ i przedostać się do Wierzlesia i dalej do wioski Lipina. Stąd już tylko 10 km przez las do pola lawendy Dworzysk. To bardzo ciekawe miejsce – nietypowa w tym klimacie uprawa lawendy i przesympatyczni właściciele Ula z Grzegorzem, którzy opowiadają o niezwyklej przygodzie, jaką stała się dla nich praca z tą pachnącą rośliną. Prowadzą też mały sklepik ze swoimi produktami. Przed wizytą trzeba koniecznie upewnić się, czy zastaniecie ich na miejscu! W drodze powrotnej przez las tą samą malowniczą drogą docieramy do drogi Białystok – Kuźnica.

i odbić w lewo przy samej granicy – obie drogi są bardzo urokliwe.

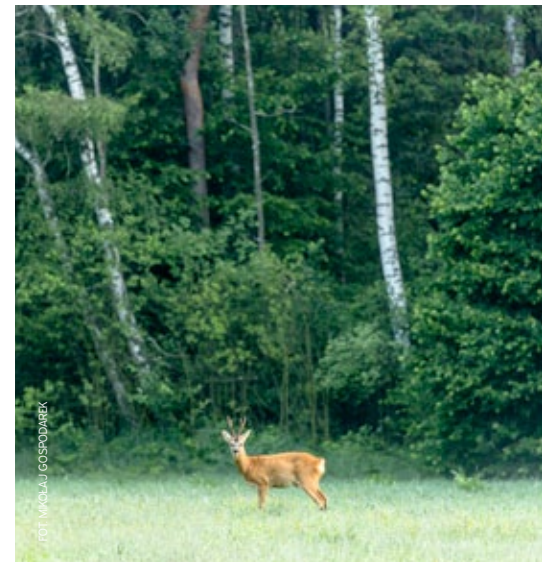
Kruszyniany rozślawił mały drewniany meczet. Tutaj można usłyszeć ciekawe historie o Tatarach i poznać kawałek innej kultury i religii. Wejścia do meczetu są zorganizowane, a poza sezonem najlepiej wcześniej umówić się na wizytę. Opiekun meczetu, pan Dżemil, bardzo ciekawie wprowadza w tatarski świat i tłumaczy krok po kroku to, co można zobaczyć w świątyni. Nieopodal znajduje się też stary cmentarz, na którym do dziś odbywają się pogrzeby zmarłych w Polsce Tatarów.

Przy drodze wyrosło kilka restauracji. Sugeruję zajrzeć do Tatarskiej Jurty, gdzie można spróbować prawdziwej tatarskiej kuchni. W sezonie panuje tu spory ruch, ale mimo wszystko warto poczekać i poznać nowe smaki.

Podczas dalszej jazdy w kierunku Krynka polecam krótkie wycieczki w bok. Ozierany Wielkie i Małe to przeurocze,

małe wioski. Dookoła tylko lasy, łąki, a w oddali widać słupki graniczne – Białołęka jest na wyciągnięcie ręki. Kiedy dotarłem w to miejsce przed czterema laty w środku zimy, stwierdziłem, że jeśli istnieje koniec świata, to wygląda właśnie tak. Napotkani ludzie chętnie wdają się w pogawędki przy płocie i pytani, jak żyje się w takim miejscu, kwitują zawsze: „no jak – normalnie!”.

Krynki może nie powalają urokiem, ale dla samego ronda warto tutaj zajrzeć. Jedenaście zjazdów zmusza do skupienia. Proponuję zjechać z powrotem w kierunku Supraśla, do pobliskiej miejscowości Poczopek. Po pierwsze znajduje się tu piękny ogród leśny Silvarium, a po drugie można odwiedzić Stanicę Kresową. To bardzo dobre miejsce na nocleg na samym skraju puszczy. Jeśli ktoś chciałby spędzić kilka dni w samym sercu lasu, to idealnie odnajdzie się również w Łosiej Chacie. Małutka wioska Grzybowce,



Wizytę w Puszczy Knyszyńskiej proponuję zakończyć smakowicie na lodach w Starej Szkole w Sokółce. To wyjątkowe miejsce i nigdzie na świecie nie jadłem tak dobrych lodów! ☺

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.


Afryka w pigułce

Zbigniew Kula

Namibia to najlepszy wybór dla rozpoczynających przygodę z Afryką. Kraj bajecznych wydm, niezwykłych krajobrazów, niezapomnianych spotkań z plemionami Himba, Herero i San. Zaletę dla podróżujących stanowią olbrzymie, słabo zaludnione przestrzenie i obfitość zwierząt.

Buszmeni samych siebie nazywają ludem San. Podobno ich fajki, poza wysuszonymi roślinami, są wypełniane odchodami gryzonia – góralka przylądkowego.



A photograph of a desert landscape in Namibia. In the foreground, several dead, gnarled acacia trees stand on a sandy plain. The trees have twisted, weathered trunks and branches, some leaning at odd angles. Behind them, a large, smooth sand dune rises, its surface a vibrant orange-red color. The sky above is a deep blue with scattered white clouds. The overall scene is surreal and evocative of a harsh, arid environment.

Dead Vlei w parku Namib-Naukluft. Martwe drzewa akacji trwają tu od stuleci. Z intensywnie pomarańczowymi wydhami tworzą surrealistyczny krajobraz. To jedno z najchętniej fotografowanych miejsc w Afryce.

Kobieta Herero w typowej sukni i kapeluszu, który ma przypominać krowie rogi, szyje sukienki dla laleczek, kupowanych jako pamiątka z Namibii.





Chłopak Himba z zaplecionym do tyłu warkoczem i czapeczką. To dobry kandydat na męża.

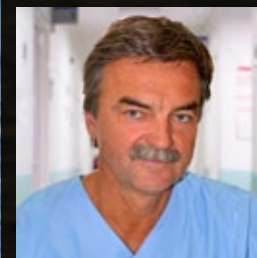


Kobiety Himba tańczą i śpiewają w tradycyjnych strojach, biżuterii i fryzurach oblepionych gliną.



Etosha zajmuje powierzchnię 22 912 km² i jest jednym z największych parków narodowych na świecie. Żyje tu około 3070 żyraf.

Walvis Bay jest laguną, w której wodach żeruje większość afrykańskich flamingów. W tym rajku dla ornitologów występuje około 80 gatunków ptaków.



Zbigniew Kula

Lekarz, gastroenterolog. Odwiedził wiele krajów z grupą przyjaciół, którzy nazwali się gastroglobtroterami. Chciałby mieć więcej czasu na podróże i fotografowanie, obserwowanie natury, a szczególnie ptaków.



Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Kuchnia Warmii i Mazur łączy smaki mazowieckie, niemieckie, a także kresowe. Ważnym składnikiem są oczywiście ryby z licznych jezior, ale również często wykorzystuje się ziemniaki, które uprawia się tu od XVIII w. Plince z pomoćką to tradycyjne danie kuchni warmińsko-mazurskiej. O ile plince, czyli po prostu placki ziemniaczane, zna cała Polska, o tyle pomoćka jest typowa dla tego regionu.



PLINCE Z POMOĆKĄ



📦 SKŁADNIKI:

na plince:

- 500 g ziemniaków
- 1 duża cebula
- 2 jajka
- 1 łyżka mąki pszennej
- 1 łyżeczka mąki ziemniaczanej
- sól i pieprz do smaku

na pomoćkę:

- 50 g twarogu tłustego
- 100 g kwaśnej śmietany 18%
- 1 mała cebula
- 1 ząbek czosnku
- sól i pieprz do smaku

dotatkowo:

- 100 g szynki wędzonej
- olej do smażenia
- szczypiorek

📦 Ziemniaki obrać i zetrzeć na drobnych oczkach tarki. Cebulę drobno posiekać i dodać do startych ziemniaków. Z masy odcisnąć wodę, a następnie wbić jajka, wsypać mąkę, doprawić do smaku. Wszystko dokładnie wymieszać i na rozgrzanym oleju smażyć placki z dwóch stron na złoty kolor. Twaróg rozgnieść i wymieszać ze śmietaną. Dodać zmiądzony ząbek czosnku i drobno posiekaną cebulę. Na końcu doprawić solą i pieprzem. Pomiędzy placki włożyć podsmażoną na suchej patelni wędzoną szynkę. Następnie na wierzch nałożyć dużą łyżkę pomoćki i posypać szczypiorkiem.



FOT. AGNIESZKA KUBICA

Nieopodal Puław znajduje się miejsce jedyne w swoim rodzaju. Jakby skrzyżowanie Toskanii z Cannes. Galerii i wystaw jest tu więcej niż w niejednej aglomeracji, a twórców i artystów można spotkać co krok. Miasteczko szczególnie upodobali sobie malarze, których przyciąga wyjątkowe światło, magiczny nastrój, unikalna architektura, przyroda, kolory, pejzaże... Kazimierz Dolny od lat pozostaje miejscem natchnienia i inspiracji.

To już tradycja – przyjechać do Kazimierza, rozstawić sztalugi i malować. A jest co, bo wokół zabytkowe kamienice, kościół farny, zamek z basztą, na rynku – charakterystyczna studnia z drewnianym daszkiem. Miasteczko jest pięknie położone wśród wzgórz, dolin i wąwozów, w malowniczym przełomie Wisły, która na tym odcinku zachowała cechy dzikiej, pierwotnej rzeki. W oddali widać panoramę dawnej osady flisackiej Mięćmierz, do której przeniesiono ówczesną zabudowę wiejską. Uroku dodają ruiny zamku w Janowcu, położone na przeciwnym brzegu Wisły. Widoki jak z obrazka, aż mam ochotę złapać za pędzel, piórko czy węgiel i malować, szkicować, rysować... Na szczęście prawdziwych malarzy tu nie brakuje. Co prawda Daniel Olbrychski już nie zajeżdża konno pod farę, ale tutejsza cyganeria też nieźle sobie radzi.

Z zieleni wzgórz wyłaniają się budowle, które przypominają o przeszłości Kazimierza. Ukształtowanie terenu i położenie nad Wisłą, a także – na szlakach handlowych z Rusią, Zachodem i państwem krzyżackim, zdecydowały o jego rozwoju. Najpierw powstała tu osada

targowa, a następnie miasto królewskie z przeprawą i komorą celną. Wtedy też zaczęła do Kazimierza przybywać ludność żydowska, która na początku XX w. stanowiła już połowę mieszkańców.

O bogactwie i znaczeniu miasta decydowała żegluga wiślana, zwłaszcza spław zboża do Gdańska. W czasach świetności Kazimierz miał aż 60 spichlerzy, z których

do dziś przetrwało zaledwie 11. Po pożarze w 1561 r. miasto zostało odbudowane w duchu renesansowym. Za fortuny zrodzone z handlu zbożem wznoszono wspaniałe budowle, nie szczędząc przy tym eleganckiego sznytu zwykłym budynkom gospodarczym. To wtedy kupcy Mikołaj i Krzysztof Przybyłowicze postawili słynne kamienice, które można oglądać



FOT. JERZY NOWAK



na kazimierskim rynku. Zachwycają bogactwem zdobionymi attykami, misterną ornamentyką, głębokimi podcieniami. Na ich fasadach dominują płaskorzeźby z wizerunkami fundatorów. To perły kazimierskiego manieryzmu – utrzymane w stylu renesansowym, ale trochę przeladowanym. Kupcy chcieli, aby ich kamienice były wystawne i wielkopańskie. Dlatego kazali na nich umieścić niemal wszystko, żeby było okazale i z przepychem. Kto bogatemu zabroni? Dzisiaj te budynki są świadkami dawnej świetności Kazimierza i szlaku wodnego, jakim 400 lat temu była Wisła.

Kazimierz zachwyca od pierwszego wejrzenia. Nic dziwnego, że od wieków przyciąga artystów. Jego walory doceniali już Zygmunta Vogel, Wojciech Gerson czy Elwiro Andriolli. Na początku XX w. Władysław Ślewiński urządził tu pierwszy malarzowski plener, ale prawdziwe „odkrycie” Kazimierza przez malarzy nastąpiło w okresie międzywojennym. Wówczas regularne plenery organizował Tadeusz Pruszkowski, ekscentryczny profesor warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, który przylatywał do Kazimierza aeroplanem. Spośród grona jego uczniów wyodrębniło się Bractwo św. Łukasza – słynne ugrupowanie artystyczne najsilniej związane z Kazimierzem. Przez wiele lat mieszkała tu Maria Kuncewiczowa. Przez jej dom, słynną Kuncewiczówkę, przewinęło się wielu

wybitnych twórców, m.in. Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Irena Lorentowiczówna, Antoni Słonimski. We wrześniu 1939 r. właśnie stąd odchodzili na wygnanie Julian Tuwim i Kazimierz Wierzyński. W mieście bywali: Jarosław Iwaszkiewicz, Ireneusz Iredyński, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Marek Hłasko, Henryk Berezka i wielu innych. Często powracał tu znany fotografik Edward Hartwig.

Najbardziej fascynujący jest rynek. Można tu siedzieć godzinami i patrzeć na rozgrywający się wokół „spektakl”. Bo Kazimierz ma w sobie coś z teatru. Przed wojną był on bardzo żydowski, kupiecki, kameralny, teraz jest zróżnicowany, wielojęzyczny, światowy. Z rynku doskonale widać farę, w której znajdują się najstarsze w kraju późnorenesansowe organy. Ponad miastem widnieje Głgota. Tak jest nazywana góra, na której ustawiono trzy krzyże jako wotum dziękczynne za ocalenie miasta od zarazy. Warto tutaj przyjść o zachodzie słońca, aby podziwiać wspaniałe widoki.

Kazimierz Dolny zaskakuje też nocą. Można wtedy, przy świetle pochodni, zwiedzić niesamowity wąwóz Korzeniowy Dół. Absolutne чудо i unikat na skalę światową. Na jego lessowych zboczach widać korzenie drzew poskręcane w fantazyjne formy. W nocy przypominają baśniowe stwory, co tylko potęguje nastrój grozy. Amatorzy wypraw z dreszczykiem

z pewnością będą zachwyceni. Romantryczne dusze wybiorą raczej sentymentalną przechadzkę po Kazimierzu. Kiedy miasto zupełnie się wyciszy, można posłuchać opowieści, które brzmią znacznie lepiej niż w dzień. Ot, jak chociażby słynna legenda o kogucie kazimierskim czy niezwykła historia miłości króla Kazimierza Wielkiego i pięknej Żydówki Estery. Choć miasto wiele królowi zawdzięcza, nazwę wzięło od imienia księcia Kazimierza Sprawiedliwego. To on w XII w. nadał ówczesną osadę Wietrzna Góra krakowskiemu norbertankom, a siostry, na cześć swojego darczyńcy, zmieniły jej nazwę na Kazimierz.

Zniszczenia wojenne objęły niemal całe miasteczko. Szczęśliwie odbudowana była prowadzona przez wybitnego architekta Karola Sicińskiego, któremu udało się wskreślić jego dawny klimat. Współczesny Kazimierz to wielowymiarowe dzieło sztuki, które wciąż pozostaje miastem kolejnych pokoleń artystów. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

MARKA KEEN PRZEDSTAWIA TERRADORĘ – REWOLUCYJNY, LEKKI BUT DO TURYSTYKI PIESZEJ, ZAPROJEKTOWANY OD PODSTAW Z MYŚLĄ O KOBIECIACH, KTÓRE POSZUKUJĄ PRZYGÓD NA MIEJSKICH I POZAMIEJSKICH SZLAKACH.



TRAILFIT™ Z MARKĄ KEEN

NIEZALEŻNIE OD TEGO, CZY PRZEMIERZAJĄ SZLAKI TURYSTYCZNE, CZY MIEJSKIE CHODNIKI, KOBIECY POSZUKUJĄCE PRZYGÓD WIEDZĄ, ŻE DOBRZE DOPASOWANE BUTY SĄ NAJWAŻNIEJSZE. W ODPOWIEDZI NA POTRZEBY SPORTOWCÓW AMATORÓW KEEN Z DUMĄ PREZENTUJE TERRADORĘ – WYJĄTKOWE OBUWIE DLA KOBIEC DO UPRAWIANIA TURYSTYKI PIESZEJ. ŁĄCZY ONO STYL, WSZECHSTRONNOŚĆ UŻYTKOWANIA, JAKOŚĆ WYKONANIA I OCZYWIŚCIE WYGODĘ.



Kolekcja Terradora została zaprojektowana i skonstruowana w sposób bezkompromisowy, aby spełnić nadrzędny cel – idealne buty dla aktywnych kobiet. Produkt miał łączyć cechy miejskiego obuwia z takim, które sprawdzi się również na górskim szlaku. Marka KEEN nie po raz pierwszy wykazała się bardzo dużym zaangażowaniem w rozwój kobiecego obuwia turystycznego.

W ramach koncepcji TrailFit™, czyli połączenia buta na szlak i do treningu w terenie, marka KEEN opracowała nową linię Terradora (modele Mid, WP, Pulse). Buty służą kobietom podczas różnych form aktywności na świeżym

powietrzu. Świetnie sprawdzą się zarówno na górskich szlakach, na treningu w terenie, jak i w czasie spacerów po mieście. TrailFit™ zaprasza do nowoczesnej przygody fitness – dynamicznej przestrzeni, w której kobiety mogą prowadzić zdrowy, aktywny styl życia – od miejskich obozów rozruchowych po szybkie tempo nordic walking. Na trening można wyjść nawet pod wpływem impulsu – prosto z pracy, spotkania, zakupów, bez konieczności zmiany obuwia. TrailFit™ pozwala kobietom cieszyć się miejscami, w których ćwiczą, a nowa Terradora daje im możliwość ćwiczenia wszędzie, gdzie chcą.

Specjalistyczne obuwie sportowe dla kobiet Terradora stworzono z myślą o kobiecej fizjonomii. Wierzchnia warstwa to lekka siatka, która zapewnia ochronę i dobrą odychalność. Podszewka, również z siatki (lub membrany KEEN.Dry® w wyższym modelu), utrzymuje stopy w odpowiedniej temperaturze, dzięki czemu pozostają świeże i suche. Specjalnie wyprofilowane strefy ścięgna Achillesa i pięty dbają o stabilność, nawet podczas pokonywania odcinków w trudnym i nieznanym terenie. Podstawa buta to uformowany kołnierz i pianka PU o podwójnej gęstości, które zapewniają niesamowitą wygodę. Podeszwa środkowa EVA o małej gęstości została zaprojektowana tak, aby zagwarantować kobiecym stopom amortyzację i lekkość oraz wysokie wsparcie i ochronę podczas treningu o większej intensywności. Elastyczna podeszwa z dobrym protektorem zapewnia niezawodną przyczepność. Bieżnik ma wielokierunkowe występy do pokonywania bardziej wymagającego terenu. Wszystko to sprawia, że kobiety oczekujące komfortu i skuteczności są zachwycone nowym modelem KEEN od pierwszego użycia.



MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE TERRADORA TO BUT HYBRYDOWY. ŁĄCZY BOWIEM MIŁOŚĆ DO SPORTU NA ŚWIEŻYM POWIETRZU Z CODZIENNĄ MIEJSKĄ PRZYGODĄ. TO PEWNA, NOWOCZESNA KONSTRUKCJA, MODNA STYLIZACJA ZGODNA ZE WSPÓŁCZESNYMI TRENDAMI, A DO TEGO NIEZWYKLE ZRÓŻNICOWANA PALETA KOLORÓW.



KEEN
TERRADORA

O firmie KEEN, Inc.

KEEN to renomowana, amerykańska marka butów outdoorowych z miasta Portland w stanie Oregon. Ma misję odpowiedzialnego tworzenia oryginalnych i wszechstronnych produktów, poprawy życia i inspirowania do outdoorowej przygody. Założona w 2003 r. firma KEEN zapoczątkowała rewolucję w przemyśle obuwniczym, wprowadzając na rynek sandał Newport® i koncepcję obuwia hybrydowego. KEEN stara się aktywizować społeczność w celu ochrony i zachowania miejsc pracy i zabawy. Więcej na: www.keen.pl.

Trekking w górach

Dla wielu outdoorowców wrzesień to idealny czas na wyjazdy trekkingowe w Beskidy, Sudety czy Tatry. Po fali wakacyjnych upałów najlepiej odpocząć podczas górskich wycieczek.



Cena: ok. 5 zł (300 ml)
www.oskola.pl

NATURA I ZDROWIE OSKOŁA

Sok z brzozy, zwany oskołą, już w medycynie ludowej słynął ze wspaniałych właściwości, które cudownie wpływają na nasz organizm. Dziś sok z brzozy przeżywa wielki powrót. To produkt dla każdego, kto stosuje zdrową dietę i chce być fit. W sklepach można kupić oskołę w wersjach: naturalnej, z sokiem z cytryny, granatu, dzikiej róży, żurawiny oraz bez dodatku cukru.

JAKOŚĆ I STYL VICTORINOX FORESTER WOOD



Scyzoryk Forester Wood równie dobrze sprawdza się w lesie, jak i w miejskiej dżungli. Jego 10 zintegrowanych funkcji obejmuje śrubokręt, duże blokowane ostrze i piłę do drewna. Ma piękne okładki z drewna orzechowego.

Cena: ok. 230 zł
www.victorinox.com/pl



Cena: ok. 550 zł
www.salomon.com

PODAŻAJ, GDZIE CHCESZ SALOMON X ULTRA 3

Jeden z bestsellerów marki Salomon w nowej odsłonie. Buty X Ultra 3 dzięki technologii Descent Control doskonale sprawdzają się na technicznych podejściach oraz wymagających zejściach. Dzięki sportowej, stabilnej ramie podeszwy i precyzyjnej, ale oddychającej cholewce zdobędziesz każdy szlak. Smukły krój i doskonałe dopasowanie butów X Ultra ułatwią dotarcie do każdego celu.

KIJE BIEGOWO-TREKKINGOWE GRIVEL TRAIL THREE

Trzysegmentowe kije z innowacyjnym systemem składania, tuleją blokującą na trzech długościach (112, 122, 130 cm) oraz niską wagą 520 g. Pianka EVA na rękojeści zapewnia wygodę i ergonomię użytkowania. W zestawie znajdują się dwa talerzyki: letni i zimowy.



Cena: ok. 390 zł
www.grivel.com

NOWOŚĆ W KOLEKCJI REGATTA ALKIN MW271

Producent wyposażył tę kurtkę w wyjątkową technologię, zapewniającą bezpieczeństwo po zmierzchu. Ma odblaskowe panele na całym korpusie, które nie rzucają się w oczy podczas normalnego użytkowania, ale po zmierzchu zapewniają widoczność 360 stopni (z każdej strony i pod każdym kątem). Membrana Isotex 5000 jest wiatro- i wodoszczelna. Podklejone szwy dodatkowo ochronią przed dostawaniem się wody do środka. Elastyczne (stretchowe) panele zapewnią swobodę ruchów podczas górskich czy miejskich wędrówek.



Cena: ok. 350 zł
www.regatta.pl

FAST&LIGHT FREETIME PEAK 2 DXAL

Namiet na pieszą lub rowerową wyprawę musi być najwyższej jakości i bardzo lekki. Tunelowa konstrukcja z wewnętrznym namiotem siatkowym, stelażem Air Lite 8,5 mm wraz z systemem pinów i pierścieni pozwoliły osiągnąć wagę 1,4 kg, a jest to namiot 2-osobowy. Po złożeniu wymiary pokrowca to 45 × 15 cm. Jest wykonany z poliamidu 15D Ripstop, silikonowany z zewnątrz, z wewnętrzną powłoką PU. Boczne szwy zapewniają świetną ochronę podczas deszczu.



Cena: ok. 1150 zł
www.camelmore.pl

TECHNOLOGIE I INNOWACJE VALDES 4

Namiot łączy najnowocześniejsze rozwiązania. Pompowany, wysokociężniowy stelaż umożliwia szybkie i wygodne rozstawianie. Sypialnie z technologią BlackOut Bedroom® zapewniają ciemność niezależnie od pory dnia i warunków na zewnątrz, a także umożliwiają utrzymanie niższej aż o 5°C temperatury w ciągu dnia. Ciekawym rozwiązaniem są Hinged Door, czyli drzwi na zawiasie otwierające się tak jak tradycyjne. Otrzymały tytuł „Najlepszej innowacji campingowej 2016” przyznany przez redakcję Camping Magazine.



Cena: ok. 4000 zł
outdoorpro.pl

DO ZADAŃ SPECJALNYCH PETZL E+LITE

Oświetlenie zapasowe – lekka i zwarta latarka czołowa, którą zawsze można mieć przy sobie. Dzięki pokrowcowi transportowemu cały czas gotowa do użycia, może być przechowywana z bateriami (przez 10 lat) w plecaku, kurtce, zestawie ratunkowym lub jako zapasowa czołówka. Emituje białe lub czerwone światło, stałe lub pulsujące. Gwizdek na opasce elastycznej umożliwia sygnalizację dźwiękową. E+LITE waży tylko 27 g i jest idealną latarką do sytuacji ratunkowych. Moc: 50 lumenów. Zasilanie: 2 baterie litowe CR2032 (dołączone).



Cena: ok. 110 zł
www.amc.krakow.pl

NOWOCZESNE ŻYWIENIE FORESTIA BEEF STROGANOFF

To klasyczny beef stroganow w obfitym sosie śmietanowym z grzybami i duszoną cebulą podawany na porcji długoziarnistego i dzikiego ryżu. Potrawy Forestia są zapakowane hermetycznie i wymagają jedynie podgrzania. Można to zrobić na trzy sposoby: w garnku, w mikrofalówce lub w specjalnym worku, do którego wystarczy dodać trochę wody. W tym ostatnim przypadku nie potrzebujemy dostępu do kuchni czy maszyny, żeby przygotować ciepły posiłek. Idealne dla ludzi aktywnych oraz potrzebujących na co dzień ciepłego i łatwego w przygotowaniu posiłku.



Cena: ok. 35 zł
www.makanu.pl

NIEZBEDNIK FOTOGRAFA W PODRÓŻY WD MY PASSPORT WIRELESS PRO

To zewnętrzny dysk wyposażony w czytnik karty SD. Dzięki temu można zrywać lub kopiować zdjęcia i filmy z karty bezpośrednio na dysk (bez pośrednictwa komputera). Wbudowane WiFi w połączeniu z aplikacją My Cloud daje możliwość nieograniczonego korzystania i udostępniania bezprzewodowo plików – np. ze smartfona, tabletu czy peceta. Dzięki szybkiemu złączu USB 3.0 dysk można podłączyć również do komputera i błyskawicznie przesyłać dane. Wbudowany akumulator o pojemności 6400 mAh pozwala na cały dzień pracy, może również służyć jako power bank. Dostępne pojemności 1, 2, 3, 4 TB.



Cena: od ok. 700 zł
www.wdc.com/pl-pl



Cena: ok. 300 zł
www.devold.pl

KOMFORT NATURALNEGO WŁÓKNA DEVOLD HIKING

Seria bielizny Devold Hiking jest doskonałym wyborem na późne lato, kiedy pogoda robi się kapryśna, a temperatura rano i wieczorami spada. Koszulki, kalesony i akcesoria wyprodukowane w Europie z najwyższej jakości wełny merino zapewniają doskonałą regulację termiczną ciała. Jako pierwsza warstwa odzieży znacząco zwiększają komfort podczas długich wędrówek i nie wchłaniają zapachów. Dopasowany krój i płaskie szwy eliminują ryzyko otarć i pozwalają na wygodne użytkowanie kolejnych warstw odzieży. Marka sprawdzona przez Norwegów w najtrudniejszych warunkach.

APIDURA HANDLEBAR PACK DRY 9L

Test tej sakwy to ciąg dalszy sprawdzania możliwości produktów Apidura. W wydaniu lipcowym testowałem model Saddle Pack Dry 14 L. Teraz przyszedł czas na podzielenie się wrażeniami i opiniami na temat modelu Handlebar Pack Dry 9L.

Torba została uszyta z wysokiej jakości wodoodpornego materiału, który jest wytrzymały i lekki (stanowi tajemnicę handlową, został stworzony specjalnie dla marki Apidura). W miejscach najbardziej narażonych na przetarcia użyto bardzo wytrzymałego materiału TPU hypalon. Sakwa jest oczywiście wodoodporna. Wprawdzie do wody jej nie wrzucałem, ale wylądowało na niej trochę deszczu i błota. Doprowadzenie jej do czystości było niezwykle proste: wystarczy zwilżyć całą powierzchnię, przetrzeć gąbką lub szmatką z płynem czyszczącym – i nie ma śladów zabrudzeń. Producent twierdzi, że nawet przy całonocnej jeździe w deszczu nie mamy co się obawiać o zawartość torby. Sakwa się nie rozciąga i gwarantuję, że nie ma szans na jej rozdarcie. Jest po prostu pancerna.

Torba ma trzy zaczepy wykonane z antypoślizgowego materiału dla maksymalnego komfortu użytkowania. Daje



FOT. MARUSZ RZEWIŃSKI

to również możliwość szybkiego montażu i demontażu. Ciekawym i bardzo praktycznym rozwiązaniem jest odpowietrznik, który zapewnia dodatkową kompresję. Sakwa jest zapinana z dwóch stron, co pozwala na równomierne jej spakowanie i łatwy dostęp do całej zawartości. Na wierzchu znajdziemy również elastyczne sznurki, dzięki którym zamontujemy dodatkowy bagaż (np. bluzę czy kurtkę). Ma również odbłaskowe elementy podnoszące widoczność.

Mimo pozornie niewielkich wymiarów (9 l) zmieściłem w niej: zestaw naprawczy (klucze, dętka, pompka, łaćki), kurtkę i koszulkę, dokumenty, mały aparat fotograficzny oraz kamerę Go-Pro. Przy takim obciążeniu, mimo mocno zaciągniętych pasków montujących, ciężar dobrze się rozłożył i w żaden sposób nie przeszkadzał w prowadzeniu roweru. Nie odczułem również kłopotu podczas używania hamulców czy manetki od regulowanej sztycy. Niewąt-

pliwym atutem sakwy jest to, że mamy do niej bardzo szybki dostęp bez zsiadania z roweru. W zestawie z sakwą Saddle Pack, czyli tą montowaną pod siodełkiem, tworzą zgrany duet. Jeśli uzupełnimy wyposażenie o mały plecak (maks. 18–20 l), możemy wybrać się na kilkudniową wyprawę w stylu *fast&light*.



Cena: ok. 490 zł
www.camelmore.pl

Specyfikacja:	
L1	13 cm
L2	35 cm
L3	45 cm
H1	14 cm
Waga	250 g
Pojemność	9 l

Torba pasuje do rowerów górskich, ale może być zmniejszona, żeby dostosować ją do rowerów miejskich.

Test: Grzegorz Miedziński



FOT. MARUSZ RZEWIŃSKI

MYPHONE HAMMER AXE M LTE

Zapotrzebowanie na urządzenia o ponadprzeciętnej odporności na uderzenia i czynniki zewnętrzne rośnie cały czas. Superwytrzymałe tablety, aparaty, telefony, latarki to obok modeli o minimalistycznych rozmiarach najbardziej pożądane produkty. Polski producent smartfonów i telefonów komórkowych jakiś czas temu zaprezentował następcę modelu HAMMER AXE LTE, czyli HAMMER AXE M LTE. To urządzenie z najwyższej półki. Ten smartfon trafił w moje ręce tuż przed wyjazdem na wspinaczkę, gdzie o upadek z wysokości, kurz czy zarysowania nietrudno.

Świetne zdjęcia, stały dostęp do internetu i duża liczba aplikacji – tego wszystkiego oczekujemy od smartfonów, czyli sprytnych telefonów. Niestety – coś za coś. W porównaniu z telefonami komórkowymi starego typu wytrzymałość smartfonów i czas pracy baterii mogą pozostawiać trochę do życzenia. Większość jest też wrażliwa na piasek, pył, wodę, a pęknięcie szybki potrafi skutecznie je unieruchomić. Ideałem wydają się więc smartfony typu rugged, czyli pancerne urządzenia, które łączą wszystkie cechy smartfona z niezwykłą odpornością.

Pomysł pancernego telefonu przywodził do wojska. Amerykańska armia potrzebowała bezprzewodowych telefonów odpornych na uszkodzenia mechaniczne oraz niemal wszystkie warunki atmosferyczne i terenowe. HAMMER AXE M LTE to model, który z powodzeniem mógłby sprostać tym wymaganiom. Jego 4,5-calowy wyświetlacz HD z matrycą IPS pokryty szkłem Gorilla Glass 3, dzięki czemu telefon sprawdzi się nawet w najtrudniejszych warunkach. Certyfikat IP68 (International Protection Rating) potwierdza jego pyłoszczelność i możliwość całkowitego



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

zanurzenia w wodzie o głębokości nieprzekraczającej 3 m. Wydajność smartfona zapewnia ośmiordzeniowy procesor o taktowaniu 1,7 GHz oraz 2 GB RAM. Urządzenie wyposażono w 16 GB pamięci wewnętrznej oraz funkcję NFC z możliwością płatności zbliżeniowych. Ma baterię 3700 mAh. Przy częstej pracy (nawigacja, SMS-y, robienie zdjęć) musiałem naładować telefon dopiero trzeciego dnia.

Dla niektórych ważną cechą jest funkcja obsługi dwóch kart SIM. Z tej opcji skorzystałem, aby włożyć drugą kartę internetową. Za jakość zdjęć jest odpowiedzialna matryca o rozdzielczości 13.0 Mpx oraz optyka Sony.

HAMMER AXE M LTE pracuje pod kontrolą Androida 6.0 Marshmallow i zapewnia nieograniczony dostęp do różnorodnej palety aplikacji sklepu Play.

MyPhone HAMMER AXE M wygląda dokładnie tak, jak poprzednik. Korpus wykonano z dwóch rodzajów tworzywa. Rdzeń, czyli wewnętrzną strukturę obudowy, wyko-

nano z twardego plastiku. Zewnętrzna warstwa jest zrobiona z matowego, nieco bardziej miękkiego tworzywa, przypominającego fakturą gumę. HAMMER AXE M jest gruby, na górnym i dolnym skraju korpusu ma solidne zgrubienia (chroniące ekran w razie upadku), a w narożnikach – cztery wystające klawisze. Operowanie nimi jest bardzo wygodne, a do tego kształt boków smartfona sprawia, że łatwiej go utrzymać mokrą dłonią czy w rękawicach. Klawisze z prawej strony służą do regulacji głośności, po



Cena: ok. 900 zł
www.myphone.pl



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

lewej zaś mamy alarmowy klawisz SOS i bezużyteczny dla większości z nas przycisk PTT (Push To Talk). Niestety w menu wciąż brakuje opcji przypisania mu innej funkcji. Bardzo przydatną, a niedocenianą rzeczą jest również wejście micro USB 2.0 z funkcją OTG (On The Go) – pozwala to podłączyć do smartfona przenośną klawiaturę czy pamięć zewnętrzną. Dzięki temu można nawet na końcu świata stworzyć z telefonu całkiem porządnym komputer. MyPhone HAMMER AXE M LTE to świetna propozycja dla osób, które szukają zaawansowanego technologicznie i odpornego na wszelkiego rodzaju uszkodzenia smartfona. Docenimy jego właściwości w podróży, podczas uprawiania sportów, nawet tych ekstremalnych, czy podczas pracy w trudnych warunkach.

Test: Grzegorz Miedziński



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

Warszawski latarnik

Pierwszy raz oświetlenie uliczne zastosowano podobno w Londynie w 1417 r. Pierwotnie do rozświetlania miejsc publicznych używano pochodni, lampek olejowych, karbidowych itp. W XIX w. dzięki powszechnej dostępności nafty (i wynalezionej przez Łukasiewicza lampie naftowej) oraz gazu miejskiego zaczęto używać tych paliw w oświetleniu ulicznym, również w Polsce. Lampy gazowe zostały potem wyparte przez lampy elektryczne, ale w niektórych miastach (m.in. Warszawie, Wrocławiu i Krakowie) są utrzymywane do dziś.

Każdego wieczoru lampę należało zapalić, a każdego poranka – zgasić. Zajmował się tym latarnik. Na rowerze z drabiną i długą tyczką potrafił przebyć aż cztery kilometry w ciągu godziny. Jego praca trwała zazwyczaj dłużej niż godzinę, dlatego część latarni była zapalana jeszcze przed zachodem słońca, a część – w zupełnej ciemności.

Na zdjęciu: Latarnik zapala latarnię gazową w Warszawie, lata 70.







BOSFOR – PIĘKNY I ŚMIERCIONOŚNY



W PERU TAŃCZĄ LUDZIE I KONIE



KASTYLIA – PANI NA ZAMKACH

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Julia Michalczevska
julia.michalczevska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofiak-Gawryjołek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaškowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

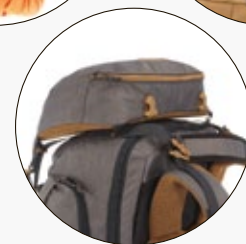
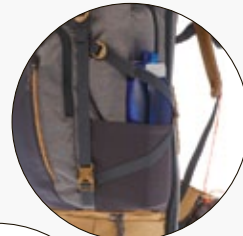
Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

 **Quechua**

PLECAK TREKKINGOWY ESCAPE 50 L

349,99 zł

**10 LAT
GWARANCJI**



WYTRZYMAŁOŚĆ NA ŚCIERANIE

10 lat gwarancji.
Wzmocnione tkaniny i szwy.



KOMFORT NOSZENIA

System Easy fit zapewnia
optymalną automatyczną
regulację. Waga: 2,27 kg

PRODUKTY DOSTĘPNE W SKLEPACH

DECATHLON

ORAZ NA

[decathlon.pl](https://www.decathlon.pl)
KUPUJ ONLINE 



VICTORINOX



**JAKOŚĆ
I FUNKCJONALNOŚĆ**

VICTORINOX.COM/PL



MAKERS OF THE ORIGINAL SWISS ARMY KNIFE | ESTABLISHED 1884